NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura **UNGRA** w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 5 maja 1906 r. Nr. 18.

Wojna z mankietnikami.

(Treść na stronie 2).



W rocznicę Trzeciego Maja.

Kiedy numer niniejszy pisma naszego opuści prasy drukarskie, obchodzić będzie Polska wielkie święto narodowe: rocznicę Trzeciego Maja. W uroczystych obchodach patryotycznych czcić będą Polacy we wszystkich zakątkach kraju pamiątkę najjaśniejszej karty naszych dziejów: konstytucyi polskiej z 3 maja 1791 roku. Wiekopomna ustawa ówczesnego Sejmu warszawskiego, która jeszcze przed Rewolucyą francuską a bez krwi rozlewu, zrównała w prawach wszystkich obywateli Rzeczypospolitej i władzę prawodawczą oddała sejmowi, zasługuje na cześć potomków ówczesnego pokolenia nawet dziś, po stu kilkunastu latach; tak były szczytne pobudki, które podyktowały Konstytucyę Trzeciego Maja zasłużonym jej twórcom.

Szczególnym zbiegiem okoliczności w tym roku właśnie w dniu obchodu wielkiej rocznicy, Warszawa, która 3 maja r. 1791 rozbrzmiewała okrzykami „Niech żyją wszystkie stany!...“ — wy-



W rocznicę Trzeciego Maja: Krakowski pomnik posła bohatera, Tadeusza Reytana, obrońcy idei Trzeciego Maja. (Fot. dla „Nowości“ W. Lis).

biera posłów do pierwszego parlamentu w Petersburgu... W chwili gdy to piszemy, nie wiemy jeszcze, kto nad Newę pojedzie z mandatem Warszawy, bronić spraw naszych w Dumie państwowej. Radujemy się tylko myślą, że wybory posłów z Rosyi przyniosły zwycięstwo konstytucyjnym demokratom, a wybory elektorów w Warszawie i w Królestwie przyniosły nazwiska kandydatów narodowych. Otucha tedy wstępuje w naród, który w dniu święta Trzeciego Maja wyraża jedno tylko życzenie: oby jak najrychlej doczekać Sejmu polskiego w Warszawie.

Pragnąc Czytelnikom „Nowości“ dać miły upominek z okazyi patryotycznego święta, podajemy dziś podobizny dwóch pamiątek krakowskich, mających z tą rocznicą pewien związek.

Wojna z mankietnikami.

(Do illustracyi tytułowej).

Ruch maryawicki szerzy się w Królestwie Polskiem. To też i katolicy zaczynają bronić się przeciw mankietnikom, którzy dla swych księży Maryawitów zdobywają coraz to nowe parafie. Tu i ówdzie zatem katolicy z procesyami idą znów odbierać z powrotem zagarnięte przez sekciarzy



Opiekunka powstańców: Śp. Antonina z Tokarskich Dettloffowa, zmarła świeżo w Krakowie.

kościoły, przyczem dochodzi do bitew krwawych, do walk bratobójczych. Najsmutniej przedstawia się historya przedostatniej niedzieli w Lesznie pod Warszawą, gdzie wojna religijna doszła do szczytu napięcia. Kościoły w parafiach otaczających Leszno były tego dnia przepełnione pobożnymi. Najliczniej zaś w Zaborowie, gdzie po południu zgromadziło się około 3.000 ludzi z sąsiednich wsi: Zaborówka, Łubka, Józefowa, Ożarowa, Łomny, Wygląd, Babic, Truskawia, Maryan, Borzęcina, Rokitna, Wąsów, a nawet Pruszkowa i Żbikowa, skąd też przybyła drużyna narodowo-robotnicza. Tłum sformował się w szyku następującym: Na czele kroczyła banderya w liczbie 100 koni. Następnie szli księża: Mystkowski, proboszcz z Zaborowa sędziwy 70 letni staruszek, dalej ks. Szczucki proboszcz ze Żbikowa, ks. Zawada z Łomny, delegat arcybiskupa ks. Hübner, oraz będący w Zaborowie na misyach, kapucyn o. Felicyan Sadowski, gwardyan z Nowego Miasta. Przed nimi szedł włościanin Szelachowski, który niósł krzyż, oraz Tomasz Bożyk, niosący chorągiew kościelną. Cały trzechtysięczny tłum dla odróżnienia się od mankietników miał na ramionach białe kokardy, specyalnie uszyte przez ochronki z Zaborowa. Z pieśniami religijnemi na ustach wyruszyła cała kompania, a kiedy zbliżała się do Leszna, mankietnicy wyszli na jej spotkanie i widząc, że nadciągają z chorągwiami i krzyżem, wynieśli swoją chorągiew z kościoła i pochyleniem jej powitali kompanię.

— W jakim celu do nas przybywacie? — zapytał jeden z mankietników.

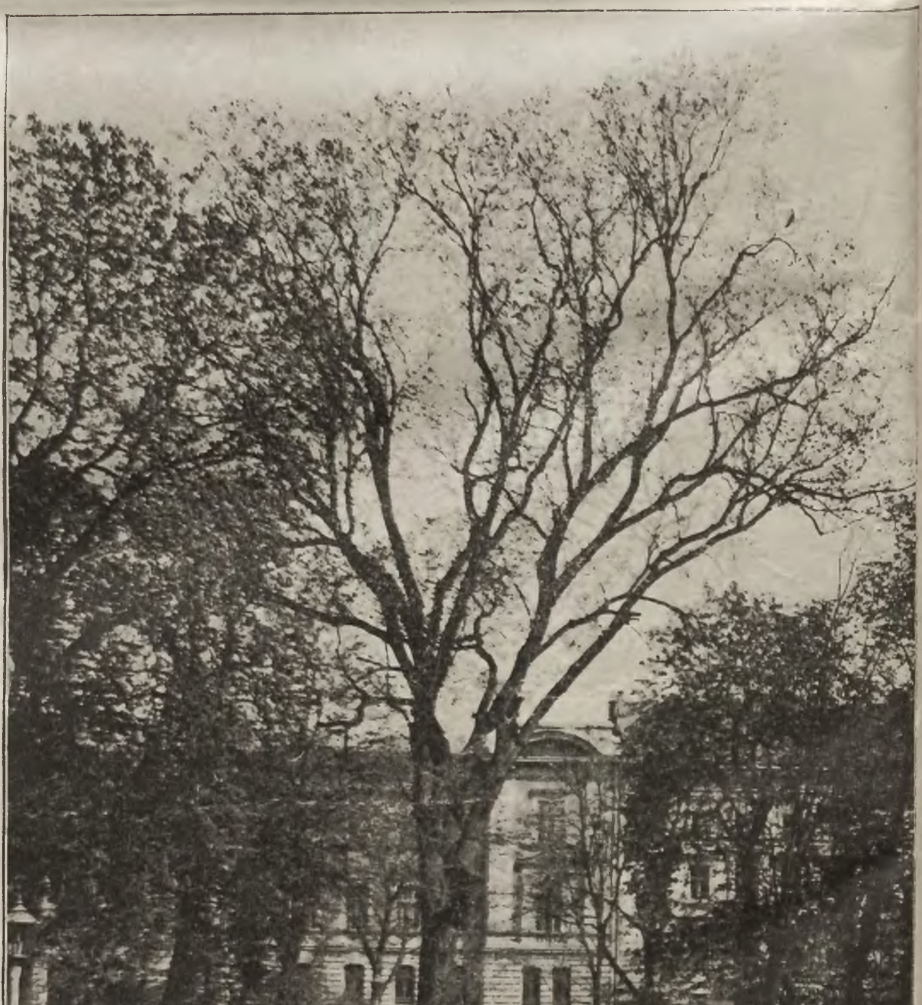
— Prosimy o wydanie nam kluczy od kościoła — odparł ks. Hübner. — Jestem po to delegowany przez ks. arcybiskupa warszawskiego.

W odpowiedzi na to, bez żadnego zgoła powodu ze strony przybyłych prawowiernych katolików, z wieżycy kościoła, oraz z sąsiednich domów i okopów, okalających cmentarz, z dachów i rowów, zaczęło się strzelanie z rewolwerów, dubeltówek, a nawet, jak świadczą rany, z moździeży kościelnych. Pierwsi padli ranni o. Feliks Hübner i ks. Szczucki. Na widok śmiertelnie rannych, z tłumu prawowiernych katolików odpowiedziano na strzały kilkunastu strzałami, raniąc trzech mankietników, których natychmiast przeniesiono do domów. Znów gruchnęła ze strony mankietników salwa z blisko 200 broni i znowu kilkunastu katolików padło rannych. Powstał popłoch. Część prawowiernych katolików rzuciła się do ucieczki, część pozostała przy rannych, aby ich zabrać. Wówczas mankietnicy przypuścili szturm z drągami. Posypały się razy, którymi ze szczególną wściekłością bito ranionych księży. Broniący księży prawowierni z obawy o własne życie uciekli. Rzucono się za nimi w pogoń i strzelano, a dognanych okładano drągami. Na pobojowisku zostało około 40 bardzo ciężko rannych. W ostatniej chwili donoszą, że w Lesznie zabitych było ogółem 10 osób, z ran zmarły 3; nadto jest 27 ciężko rannych, z tych nawet wielu śmiertelnie; wreszcie 53 osoby lżej ranne.

Opiekunka powstańców.

Zmarła w Krakowie w ubiegłym tygodniu jedna z tych Polek-obywatelek, które brały czynny a niepośledni udział w walkach o naszą niepodległość, której imię wymawiały z wdzięcznością setki bojowników za najświętszą sprawę, zawdzięczających jej ocalenie a nawet życie — zmarła Antonina z Tokarskich Dettloffowa, której portret obok zamieszczamy.

Śp. Dettloffowa była postacią, znaną szerokiemu ogółowi miasta naszego. Życie jej było jednem pasmem energicznej, poświęcenia pełnej pracy dla dobra społeczeństwa, dla dobra narodu, którego



W rocznicę Trzeciego Maja: „Drzewo Wolności“ na Plantach w Krakowie, przed wiekiem zasadzone przez obrońców idei Trzeciego Maja. (Fot. dla „Now. Ill.“ W. Lis).



Teatr ludowy w Krakowie: Znany literat i krytyk teatralny, popularny prelegent, Adam Grzymała Siedlecki, który został kierownikiem literackim krakowskiego teatru ludowego.

była córką prawdziwą, dobrą i kochającą. Urodzona w roku 1825, przebywała jako sierota w Sierszy, w domu swej siostry, zamężnej Paprockiej. W domu tym nauczyła się kochać naród i cierpieć za niego, bo miała przed oczyma żywy przykład szwagra, który za wybitną działalność w ruchu wolnościowym długi czas przesiedział w więzieniu. Tam już, jako młodziutka panienka, rozpoczęła pracę żmudną i trudną, ale chlubną, niosła pomoc rodakom, dostarczała im w czasie powstania broni, odzienia i żywności.

W roku 1848, w owym roku burzy dziejowej, poznała śp. Dettloffa, który siedział wraz z jej szwagrem w więzieniu i tylko dzięki amnestyi uwolnił się od stryczka, skazany za uformowanie oddziału powstańczego. Po uwolnieniu go poślubiła go w roku 1849 i osiadła w wydzierżawionej miejscowości Nowopole, położonej tuż obok granicy pruskiej. Dom jej stał się tam od pierwszej chwili ogniskiem, w którem koncentrowały się prądy ówczesne, i chwilową kryjówką dla uchodzących po rewolucyi węgierskiej bojowników, których z iście nadludzką odwagą, bo zawsze z narażeniem własnego życia, przewoziła przez granicę pruską, gdzie dopiero mogli spokojnie odetchnąć. Były nieraz między tymi zbiegami osobistości, które w dziejach rewolucyi węgierskiej odegrały pierwszorzędne role; był i Mierosławski. Śp. Dettloffowa twierdziła nawet stanowczo, że między nimi był i Kossuth. Wskutek tego dworek ich w Nowopolu roił się od ustawicznych rewizyi, gdyż na nim ciężyło stale oko policyi i żandarmeryi. Kiedy później Dettloffowie przenieśli się do Krakowa i osiedli we własnym domu na Zwierzyńcu, siedziba ich stała się znowu schroniskiem dla powstańców z 1863 roku, których nieraz po kilkunastu przechowywali u siebie, między nimi niejednokrotnie głównych przywódców ruchu rewolucyjnego. Śp. Dettloffowa, mając wolny przejazd przez wszystkie rogatki Krakowa bez rewizyi, zasilała oddziały powstańcze, dowożąc im ciągle proch, amunicyę i żywność. Ta energiczna, gorączkowa praca, pełna niebezpieczeństw, bo z narażeniem własnego życia podjęta, nie przeszkodziła tej zacnej Polce w jaknajlepszem wychowaniu dzieci, czterech synów i córki, u których pozostawiła po sobie niewygasły żal i pamięć najlepszej matki.

Teatr ludowy w Krakowie.

Teatr ludowy w Krakowie założony w r. 1900 przez p. Stanisława Knake-Zawadzkiego, a prowadzony potem kolejno przez pp. Adama Müllera, Juliusza Jejdego i Kazimierza Gabryelskiego — zyskuje w tych dniach nową dyrekcyą. Ster pożytecznej tej instytucyi obejmuje p. Franciszek Frączkowski, były aktor sceny miejskiej w Krakowie. Przed kilku miesiącami podawaliśmy sylwetę sympatycznego artysty, z okazyi jego ustąpienia z trupy pana Solskiego. Odwołując pamięć Czytelników do wskazanego artykułu, zasyłamy dziś nowemu dyrektorowi serdeczne: „szczęść Boże“! Dzięki energii p. Frączkowskiego sprawa i myśl teatru ludowego powstaje na nowo do życia, a nie potrzeba chyba dodawać, jak niesłychanie ważną jest sprawa i żywotność instytucyi teatru ludowego. — Znana rzutkość i niekłamane ukochanie sztuki, które cechują nowego dyrektora, zapewnią bezwątpienia scenie ludowej stały i rosnący rozwój. P. Fr. Frączkowski wnosi do pracy przyszłej cenny dar młodzieńczego zapału, popartego doświadczeniem; P. Frączkowski bowiem dał się już poznać jako organizator sceny w Polonii Amerykańskiej, gdzie dotąd imię jego wspominają z wdzięcznością, jako niestrudzonego agitatora teatru polskiego w Ameryce. Z urodzenia Warszawiak, od r. 1899 przebywa niemal stale w Krakowie; tutaj odbywa studya uniwersyteckie i tutaj od tegoż 1899 pracuje jako aktor na scenie miejskiej, zdobywając sobie słuszne uznanie krytyki i publiczności.

Kierownikiem literackim nowej dyrekcyi został, jak się dowiadujemy z gazet, p. A. Grzymała Siedlecki. Trudno o lepszy wybór. Swojemi krytykami teatralnemi, zamieszczanemi w pismach warszawskich i w krakowskich („Przegląd Polski“, „Głos Narodu“) dał się poznać p. Siedlecki jako nietylko doskonały znawca literatury dramatycznej, ale też jako niezmiernie bystry obserwator sztuki scenicznej, w ścisłem znaczeniu. Szkoda, że te barwnie i wykwintnie pisane essaye nie wyszły dotąd zebrane w książce, stanowiłyby bowiem cenny przyczynek do historyi i estetyki teatru w Polsce. Pomijając działalność p. Siedleckiego na polu literatury polityczno społecznej, wspomnimy jeszcze, że należy on do najbardziej lubianych prelegentów Uniwersytetu ludowego, gdzie zwłaszcza jego wykłady o Słowackim i o „Zdobyczach nowszego dramatu polskiego“ ściągały nader licznych słuchaczy.



Teatr ludowy w Krakowie: Były artysta teatru miejskiego, Franciszek Frączkowski, który objął dyrekcyę teatru ludowego przy ul. Rajskiej w Krakowie.



Odzyskane kościoły: Grecko-katolicka cerkiew Przemienienia Pańskiego przy ul. Krakowskiej we Lwowie, poświęcona w niedzielę; widok od strony ul. Teatralnej. (Fot. dla „Nowości Ill.“ M. Münz).

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

6 Ciąg dalszy.

— Jesteś pani zupełnie zziębnięta, osłabiona, wycieńczona, to przecież widać, a możesz pani i głodna... No, chodźże pani ze mną... Tylko płakać nie trzeba, proszę się raz już uspokoić...

Marylka zdała się zupełnie na łaskę i niełaskę mężczyzny, który ująwszy ją pod ramię, wywiódł z pokoju co prędzej, byle wzrok nieszczęsnej matki nie padł przypadkiem na kanapę za stołem.

Ale ona nie widziała nic w koło siebie ani się nie rozglądała nawet, lecz zupełnie apatyczna, dała się księciu prowadzić, jak dziecko, przez korytarz, na drugi koniec piętra, gdzie Czerski otworzył drzwi do jakiegoś niedużego pokoju. Tu zostawił ją w progu, a sam wszedł pierwszy do środka, poczem zapaliwszy lampę, wprowadził ją bliżej do oświetlonego stołu i jak dziecko posadził w głębokim fotelu.

Jeszcze kilku słowy pocieszył zrozpaczoną kobietę, zalecił jej spokój i zapewniwszy, że zaraz przyniosą jej posiłek i nocleg przygotują — sam się wreszcie oddalił, pozostawiając ją samotną.

Suche, a przyjemne ciepło owionęło przeziębłą do kości Marylkę, która teraz siedząc bezwładnie w fotelu, czuła przedziwną ociężałość we wszystkich członkach i nie byłaby zdolną ruszyć się z miejsca.

Zresztą doznawała wrażenia, że jest jej tam tak dobrze, iż pragnęłaby módz pozostać na miejscu wiecznie i nie myśleć. Tylko nie myśleć.

Za chwilę drzwi się otwarły i weszła młoda, śliczna panna służąca księżniczki.

W jej prawie dziecięcej twarzy dostrzegła Maryla tyle poczciwości, że mimowoli nabrała zupełnego zaufania do niej. Więc kiedy ta zasypywała ją pytaniami, jakim sposobem zginęło jej dziecko, Marylka chętnie opowiedziała jej wszystko.

— Niechże panienka nie płacze... nie trzeba rozpaczać... Mój pan już mi powiedział, że się zajmie paninym losem... Odnajdzie pani zgubę.

— Moje dziecko nie żyje, serce mi to mówi, przeczucie matki nie zawodzi.

— Proszę się panienki uspokoić, a jestem pewną, że się wszystko wyjaśni i odnajdzie pani synka przy życiu... To jakiś nędznik wpadł na tak łotrowską myśl, żeby pani list podobny posyłać... Ale ja wiem, nasz pan ma nieprzyjaciół, wiem to od księżniczki... on tyle robi ludziom dobrego... a wszyscy nazywają księcia dziwakiem... taka to niewdzięczność na świecie.

I dalej uspakajała płaczącą coraz ciszej Marylkę, wreszcie poradziła jej, żeby się położyła, wypoczęła i przespała, a za dnia będzie można obmyśleć, co i jak należy działać.

— No, dobrej nocy — szepnęła, ściskając ją za obie ręce i wybiegła.

Za małą chwilkę zapukano do drzwi.

— Proszę — odezwała się nieśmiało Marylka przerażona, nie mogąc się jeszcze ruszyć z fotelu.

Wsunął się milczkiem lokaj i postawił na stoliku tacę z całą kolacyą.

Zrazu obojętnie przyjęła to panna Reman, ale kiedy znów sama pozostała, uczuła tak silną potrzebę pokrzepienia się, że zabrała się chciwie do jedzenia. Z największem zadowoleniem piła przytem wino, które przedziwnie na nią oddziaływało. Krew zaczęła w niej krążyć coraz żywiej, rozgrzewając członki znużonego ciała.

Ale rychło potem uczuła się naprzemian tak obezwładniona i powieki tak się jej kleiły, że prawie bezwiednie znalazła się na wygodnej otomance i ledwie zdążyła z poręczy sąsiedniego krzesełka ściągnąć szal turecki i okryć się nim — już zasnęła.

Światło lampy nie przeszkadzało jej, jakkolwiek znajdowało się tuż na wprost jej oczu, a wielka cisza usposabiała jeszcze bardziej do snu tak niezwykle tym razem dla Marylki pożądanego.

Musiała spać twardo. Nie przebudziło jej bowiem otwarcie drzwi, przez które weszły cicho dwie kobiety.

To księżniczka Laura zdołała bez wiedzy ojca uprosić swoją zaufaną pokojówkę, którąśmy przed chwilą poznali, żeby ją na jedną minutkę zaprowadziła do dziwnego gościa.

Poczciwa Bronia nie mogła tego odmówić swojej chorej panience, tembardziej, gdy widziała, że ta nagle zmieniła się zupełnie i czuła się stokroć zdrowszą. Ubrała ją tedy i pocichutku pod rękę zaprowadziła na drugi koniec korytarza do pokoiku, w którym spała Marylka.

Księżniczka długo przypatrywała się w świetle lampy milcząco twarzy nieznajomej, która przez sen ani nie drgnęła na chwilę, nakoniec, zanim Bronka zdążyła ją powstrzymać, nachyliła się nad otomanę i pocałowała śpiącą w czoło.

Bronka szybko zdmuchnęła światło w lampie, jak gdyby obawiała się, że pocałunek zbudzi nieznajomą, która otwarłszy oczy, musiałaby zobaczyć nad sobą księżniczkę.

Niespodziewana ciemność, która je naraz ogarnęła, wywołała okrzyk przestrachu z piersi Laury.

I to jednak nie rozbudziło śpiącej.

Wtedy Bronka znowu pocichutku wyprowadziła jak dziecko księżniczkę z pokoju.

Jak długo spała Marylka, nie mogła się sama zoryentować, gdy otwarła oczy i nie wiedziała nawet, co ją mogło rozbudzić. Nic ciszy nie przerywało. W pokoju było ciemno, lecz nie do tego stopnia, by się nie dało rozróżniać przedmiotów.

Marylka zaczęła sobie przypominać, gdzie się znajduje i co ją tu sprowadziło.

Zerwała się na równe nogi z otomany, strącając szal z siebie.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem pod wrażeniem myśli, jakie ją nagle opadły.

— Precz, precz z tego domu... Ani chwili dłużej nie pozostanę w tym domu!

Rzuciła się ku drzwiom... Zastała je zamknięte na klucz.. Więc nie namyślając się wcale, poskoczyła ku oknu... Otwarła je. Chłód przejmujący owionął snem rozgrzaną.

Wyglądając oknem, rozeznawała już wszystko wyraźniej, świtało już bowiem i rozjaśniało już po nocy mimo pochmurnego nieba.

— Uciec coprędzej z tego domu.

Usiadłszy na oknie, wychyliła się, gdy wtem z poza drzwi doleciał do jej uszu odgłos kroków w korytarzu. Pod wpływem tego pośpiesznie wykręciła się w oknie tak, że siedziała już, mając nogi poza okno zwieszone.

— Precz stąd, precz — świdrowało jej w mózgu.

Więc już bez namysłu zeskoczyła z okna.

Na szczęście był to skok niezbyt z wysoka, jakkolwiek okno było na pierwszem piętrze. Znalazła się bowiem na szerokiej balustradzie kamiennej tarasu pałacowego w ogrodzie i stąd bez trudu spuściła się na najbliższą ławkę.

Na jej poręczy usiadła znużona nieco, ale nie wypoczywała długo, jak gdyby pod wrażeniem, iż ktoś ją goni. Nadsłuchiwała chwilę, stojąc już pośrodku tarasu, a uspokoiwszy się, gdy nie usłyszała w około niczyich kroków ni głosów, zeszła prędko po schodach do ogrodu, pędzona ciągle przed siebie jedną myślą uporczywą:

— Uciekać, uciekać coprędzej z tego domu jak najdalej!

Bez planu krążyć zaczęła po alejach wśród półmroku a najchętniej schodziła w boczne ścieżki węższe między szpalery krzaków, jak gdyby tutaj dopiero czuła się bezpieczniejszą.

Wtem naraz przystanęła, dech w sobie zatrzymując.

Ogarnęła ją trwoga niezmierna.

Zaczęła się rozglądać na wszystkie strony i nadsłuchiwała uważnie, tak w sobie dech zapierając, że ją aż w piersiach kłuło.

— Co to jest?

Jak gdyby właśnie wprost na nią nacierając, zbliżał się jakiś cień w tę stronę...

To z pod pałacu ktoś szedł, nie, skradał się ktoś milczkiem i chyłkiem... Parł w boczne gąszcze ogrodu...

Ciemna ta postać kierując tu swe kroki, musiałaby bezwarunkowo minąć się z Marylą na tej samej wąskiej ścieżce... Ktoś zatem odkryje teraz miejsce jej ukrycia się, może ktoś nawet, komu ją gonić kazano po ucieczce oknem.

Nie, ten człowiek, który tam wypełznął z pałacu ukradkiem w mrokach porannych... nie śledzi jej napewno. Przeciwnie, raczej sprawia wrażenie, jak gdyby sam starał się uniknąć pogoni lub zwrócić na siebie podejrzenie nagłem a niepożądanem spotkaniem się z kimkolwiek w ogrodzie.

Zbliża się ciemna postać dziwacznych kształtów... chwiejąca się sylweta nabiera wyrazistości.

Jakkolwiek krok przypomina pełzanie gada, a jakiś płaszcz ogromny zaciera charakterystykę figury... Maryla jednak poznaje człowieka, który w jakimś celu nieznanym jej zdąża właśnie gwałtem w tę stronę, nie przeczuwając tam niczyjej obecności.

Kobieta otwiera oczy coraz szerzej, wzrok topi już w wyraźniejszych teraz kształtach ciemnej figury... i świtają jej w głowie naraz dwie myśli.

— To on...

Przysięgłaby teraz, że się nie myli, mimo, że płaszcz ogromny nie pozwala nawet twarzy rozeznać dokładnie, kryjąc ją kołnierzem niemal aż pod nos, podczas, gdy czapka zapada na oczy.

Teraz Maryla nie odrywa wzroku od linii fałdów i załamów jego płaszcza.

— Niesie...

Ta myśl ostatnia rozdarła jej duszę na poły. Omal, że się ku niemu naraz nie rzuciła z radości szalona, a cofnęła się krokiem wstecz pod krzaków ochronę, okropnym strachem schwycona za gardło.

On zbliżał się już tuż ku niej, nie widząc jej jeszcze, ani nie przeczuwając nikogo o tej porze w zaniedbanym zakątku ogrodu. Ona zaś przez krótką chwilkę stała jakby w ziemię wrosła, teraz nagle wypadła na niego skokiem gwałtownym z krzykiem stłumionym, jakby wydartym ze ściskanego gardła:

— Panie Kosiara!... Moje dziecko!... gdzie moje dziecko...

Jak gdyby piorunem rażony, mężczyzna niespodziewanie napadnięty cofnął się, łypnął oczyma, spotkawszy się z jej wzrokiem... i starał się błyskawicznie oswobodzić, gdy ona za płaszcz go schwyciwszy, już ręką natrafiła na przedmiot niesiony pod jego osłoną.

Wtedy człowiek ten, którego panna Reman nazwała Kosiarą, (a w którym Czytelnik łatwo się już domyśli tajemniczej figury gościa w książęcym pałacu na wstępie naszego opowiadania) — zerwał się do ucieczki.. Przedmiot, którego doszukała się pod jego płaszczem Maryla, z rąk puścił zaraz, a ją samą pchnąwszy w piersi dzikim ruchem, powalił na ziemię — i zginął w krzakach...

Kiedy się biedna kobieta dźwignęła na nowo, ujrzała przed sobą nieduże zawiniątko, które Kosiara, żeby się uwolnić, porzucił.

Szarpnęła błyskawicznie węzeł chustki... a wtedy wzrok jej padł na trupio bladą twarzyczkę złotowłosej główki własnego jej dziecka, rodzonego synka.

Z piersi jej nie wyrwał się najlżejszy jęk.

Do ust tylko matczynych przycisnęła z wszystkich sił zastygłe ciałko i przez długą chwilę całowała je w niemym bólu...

Poczem zupełnie spokojna owinęła chustkę wilgotną z powrotem dokoła trupka i odeszła, unosząc je krokiem chwiejnym.

— Toś ty widocznie tak chciał, Panie Boże, Tobie się podobało zabrać do Siebie biedne, opuszczone stworzenie... Boże Święty, weź Ty i matkę...

I szła tak dalej, słaniając, się prosto przed siebie, i już nie wahając się wcale z postanowieniem, jakie powzięła. Wszakże najdroższe co miała na świecie — straciła, umarło jedyne dziecko, które kochała nad życie i dla którego żyć pragnęła.

Dziś tedy jest wolną, niema żadnych obowiązków, więc pragnie tylko uwolnić się jeszcze od cierpień, których niema siły znosić nadal.

Jeszcze ma jedno pragnienie na tem świecie: spocząć wraz z dzieckiem swojem w jednym wspólnym grobie.

Z takiemi myślami szła przed siebie o chmurnym poranku Marylka Reman ze swym smutnym ciężarem na ręku. Nawet sobie nie zdawała sprawy, jakim sposobem znalazła się wreszcie poza obrębem ogrodu książęcego pałacu, nie zwracała wcale uwagi na to, jak i którędy szła dalej i czy tragiczna jej podróż trwała długo czy krótko...

Ocknęła się dopiero na widok szarej Wisły, gdy na jej brzegu stanęła.

— Ojcze Niebieski, jeżeli teraz grzech jaki popełniam, to Ty mi przebacz, Panie i weź nas oboje do swej wiekuistej chwały — szepnęła Maryla półgłosem z chwilą, gdy o parę kroków przed nią szumiała rzeka, długotrwałym deszczem wzburzona, w której toni mętnej pragnęła nieszczęśliwa kobieta zaznać spokoju.

Od fal Wisełki powiało ku niej coś tajemniczego a nieokreślonego, co ją teraz głosem syrenim wołało do siebie i pociągało tak dziwnie.

Obejrzała się wkoło. Otaczała ją wszędzie pustka. Jeszcze się Powiśle nie zbudziło, a tam nad niem w górze musiała spać jeszcze Warszawa.

Dokąd okiem sięgnęła, nie dojrzała nigdzie nikogo i zadowolona, że jej nikt nie przeszkodzi, zbliżyła się tuż na sam brzeg rzeki.

Jeszcze raz ucałowała zastygłe ciałko ukochanego jedynaka, potem przycisnąwszy je sobie do łona, wydała lekki okrzyk, z którym już miała się rzucić w nurty Wisły — gdy ją za ramię schwyciła silna ręka i pociągnęła wstecz gwałtownem szarpnięciem w górę.

Szalony ból owładnął całem jestestwem zrozpaczonej kobiety na myśl, że znalazł się ktoś przecież, którego, bacznie się rozglądając, nie dostrzegła, którego kroków nawet zdala nie słyszała, a który tu chce jej wydrzeć ostatnią pociechę.

Istotnie kiedy przed spełnieniem samobójstwa rozejrzała się panna Reman dokoła siebie, nie było nigdzie nikogo. Ale w ostatniej chwili spostrzegł ją kozak, który na niskim a lotnym koniku od Zamku do Belwederu, dla skrócenia sobie drogi, pędząc z tajnymi w torbie rozkazami, przeleciał jak strzała wzdłuż bulwarku Powiślem. Co dopiero widać go jeszcze nie było. W minutę później już był przy niej, kiedy się nawet niczyjej nie domyślała przy sobie obecności...

Żołnierz zrozumiał, w jakim zamiarze mogła się ta kobieta na samej krawędzi brzegu znaleźć nad rzeką o tak wczesnej godzinie porannej wśród pustkowia, tego rodzaju bowiem tragedye ciche bez widzów stały się chlebem powszednim wielkiej Warszawy.

Ledwie ją tylko spostrzegł, skręcił nagle w bok, konia w biegu osadził w miejscu i tylko się z niego przechylił nieco, by ręką dosięgnąć ramienia desperatki. Jedno mgnienie oka a już byłoby za późno, już byłoby trzeba w nurtach rzecznych szukać topielicy. Kozak zdążył w porę powstrzymać nieszczęsną od ostatniego kroku.

Prawie nieprzytomna obejrzała się za siebie.

Żołnierz z ręki nie puszczał jej paltocika, za który ją schwycił. Uwolnił ją dopiero, gdy się na kilka kroków oddaliła od wody, postępując chwiejnie obok konia.

Mimo jej zaklęć błagalnych, by jej pozwolił odejść swobodnie, kozak kilkakrotnie gwizdnął przeraźliwie, śmiejąc się przytem dobrodusznie. Rychło usłyszeli zdala odgłos ciężkich kroków. Ktoś biegł żywo ku nim po bruku ulicznym. Zaraz potem przycichło, wezwany bowiem pędził już po piasku i szybko zbliżał się ku nim. Na jego widok żołnierz z konia zakrzyknął, a struchlała kobieta słaniająca się przy nim, oparła się o parkan.

Nadbiegający człowiek zwolnił kroku, wreszcie ciężko sapiąc, podszedł do nich. Był to stójkowy brodaty, rosły i otyły, do którego kozak słów kilka urywanych wyrzekł krótko po rosyjsku i zostawiwszy mu ocaloną desperatkę, pognał dalej w górę Wisły, bo mu snać musiało być śpieszno.

Wtedy policyant zaczął się przyglądać uważnie młodej kobiecie.

— A co tu u was jest w tej chustce — zagadnął i zaraz, odpowiedzi nie odebrawszy, sam odsłonił.

— Aha... dziecko... wasze dziecko... oho... nieżywe?

I zajrzał w oczy drżącej na całem ciele kobiety, topiąc w nich przenikliwe spojrzenie swoich ogromnych na wierzch wyłażących siwych oczu.

— Moja dobra pani, tak może mnie powiecie, z czego to są na bieliźnie takie plamy... to przecież jest krew — gadał dalej, wskazując na czerwone ślady na koszulce dziecka.

Maryla milczała a w oczach jej zrobiło się tak ciemno, że sama nie widziała w tej chwili plam, które jej stójkowy wskazywał.

— No, kiedy wy mnie nic nie powiecie, tak ja wam może sam powiem... To pani sama zabiła swego rebenoczka... No, wpierod... pójdzie pani ze mną... Tak przecie muszę aresztować, skoro jesteście podejrzana o zamordowanie dziecka... Cóż ja winowaty... pewnie, że to okropne podejrzenie.

Wszystko na próżno.

Znajdujemy się znowu w Łodzi. Jest wieczór. Na ulicy Piotrkowskiej, w okolicy między Dzielną, a Pasażem Meyera stoi pod latarnią na chodniku Halka Modrzewska.

Nie zważając na przechodniów, którym jak zawsze śpieszno i którzy dla tego mijając ją, potrącają co chwila, młoda dziewczyna nie spuszcza wzroku z drzwi kantoru, przy których błyszczą w świetle elektrycznem złocone litery szyldu z nazwiskiem „Goldenthal“.

Jest to właśnie chwila zamykania interesów handlowych i przemysłowych. Co trochę słychać hałaśliwe spuszczanie żelaznych zaluzyj i ryglowanie drzwi i okien sklepów. Tu i ówdzie gasną nagle światła w oknach kantorów bankowych i fabrycznych.

U Goldenthala jednak pracowano jeszcze we wszystkich biurach ogromnego kantoru.

Modrzewska już się niecierpliwiła, oczekując czyjegoś wyjścia stamtąd. Czas oczekiwania skracała sobie myślą, że przecież udało jej się znaleźć drogę, która prowadzi do ocalenia ukochanego Miecia. A przytem co chwila ręką przyciskała do piersi ukryty za gorsem list, jaki od niego dostała przed godziną, pełen próśb o przebaczenie ojcu za srogą zniewagę jej wyrządzoną.

Wtem nagle zerwała się z miejsca i postąpiła kilka kroków w stronę drzwi kantoru, z których wyszedł młody, przystojny mężczyzna i rozglądał się z progu na wszystkie strony.

Zobaczył nareszcie Halkę Modrzewską i zwrócił się do niej uradowany.

— Ah, dobry wieczór pannie Toli.

Zmiotła ich fala przechodniów, więc uszli parę kroków dalej i przystanęli we framudze jakiegoś zamkniętego już sklepu.

Wtedy Halka patrząc mu prosto w oczy, spytała cichym szeptem:

— Czy możesz pan spełnić moją prośbę?

— W szerokim zakresie nawet, ale łaskawa pani — dodał młody człowiek z pewnem wahaniem w głosie — moja cała egzystencya zależy od tego... Gdybyś mnie pani zdradziła, panno Tolo... Prywatny kantorek przeszukałem cały, niech pani pomyśli, coby się stało, gdybyś mnie pani wydała z sekretu.



Jeszcze raz ucałowała zastygłe ciałko ukochanego jedynaka, potem przycisnąwszy je sobie do łona, wydała lekki okrzyk, z którym już miała się rzucić w nurty Wisły — gdy ją za ramię schwyciła silna ręka i pociągnęła wstecz gwałtownem szarpnięciem w górę.

— Póki życia, nie zdradzę pana, przysięgam ci na to — odparła Modrzewska energicznie, poczem skierowali się oboje w boczną i pustą ulicę, żeby módz rozmawiać swobodnie.

Tu Halka Modrzewska, która dla niego była tylko Tolą Orliczówną, zatrzymała swego towarzysza pod latarnią i głosem drżącym od wzruszenia mówiła, upewniwszy się, iż nikt ich nie słucha.

— Przyrzekłam panu wskazać nazwisko uwodziciela siostry pańskiej i zapewniłam, że dostarczę panu dowodów, stwierdzających w zupełności moje słowa... Czy to panu wystarcza?

Co mówiąc, list złożony w kilkoro podała młodemu człowiekowi, którego twarz pod wpływem jej słów zbladła jak ściana.

On papier pochwycił gorączkowo z jej ręki, rozwinął go pośpiesznie i zaraz czytał przy świetle gazowego płomienia. W miarę czytania twarz mu się wykrzywiała a oczy ciskały błyski złości. Wreszcie doszedłszy do końca, podniósł wzrok na Modrzewską i zapytał:

— Skąd pani ma ten list?

— Nie pytaj mnie pan o to, panie Ludwiku.

— Boże mój, Boże — jęczał młody człowiek łamiąc ręce — a ja nic nie przeczuwałem, nigdy nie domyśliłem się niczego... ja tego człowieka miałem za swego dobroczyńcę... Ośmieliłem się nawet wzgardzić własną siostrą, którą on popchnął w nieszczęście i w nędzę... A ona biedaczka, teraz pojmować zaczynam, ona to dla mnie przecierpiała wszystko cierpliwie, poświęciła się za mnie... I ten łotr uwiódł ją, porzucił tak sromotnie.

Wtedy Modrzewska położyła rękę na jego ramieniu i zaglądając mu w oczy, szepnęła:

— Uspokój się pan, proszę i słuchaj mnie, panie Ludwiku. Czy pragniesz zemsty, czy chcesz pan ratować honor swojej biednej siostry?

Mężczyzna nic na to nie odpowiedział, tylko list w palcach mnąc kurczowo i zęby wściekle zaciskając, wzniósł oczy w górę.

— Panie Ludwiku, niechże mi pan wszystko teraz powie, co tylko masz mi do powiedzenia, ponieważ czas mój wymierzony na godziny.

— Owszem, teraz musisz pani wszystko wiedzieć... Otóż był tam hrabia, siedział długo, bardzo długo... Więc baron zaślubi hrabiankę, a stary hrabia sądzi, iż Goldenthal uratuje go. Tymczasem ten potwór, którego czarną duszę djabelską dziś dopiero na wskroś przejrzałem, nie myśli wcale płacić długów hrabiego, ani mu się śni, wiem o wszystkiem dokładnie i z czystem sumieniem mogę panią zapewnić, iż hrabianka Wanda poświęca się zupełnie na próżno... zgoła niepotrzebnie zgadza się na tak okropną ofiarę.

— Jeszcze pana nie rozumiem — przerwała mu Halka.

— A jednak jest wszystko tak, jak pani powiadam.

Nachylił się do jej ucha i szeptem mówił dalej prędko.

— Idzie tu o spadek, ale to olbrzymich rozmiarów spadek na korzyść hrabianki, która niczego jeszcze nie przeczuwa i nawet nie może się domyślać... Ale to jeszcze nie wszystko — dodał Ludwik w tonie gorączkowego podniecenia. — Panie wiesz o tem, że hrabianka Rożniewska nie jest panną: Dawno wyszła za mąż, ma dziecko, a mąż jej żyje po dziś dzień... I trzeba pani wiedzieć, że ten człowiek kocha żonę szalenie, podobnie, jak ona męża... I zgoła niepotrzebnie popełni istne samobójstwo, druzgocąc szczęście trojga ludzi, na to jedynie, żeby od hańby ratować ojca i brata, właśnie w chwili, gdy ofiara jej nie tylko na nic się nie zda, ale jest już niepotrzebna...

— Ależ mój Boże — przerwała znowu Modrzewska — w takim razie hrabianka Wanda popełnia wielkie przestępstwo, przecież w podobnym wypadku będzie winną bigamii... Czy pan znasz nazwisko męża hrabianki Rożniewskiej?

— Owszem, doskonale znam... Doktór Jan Anielski, lekarz w Warszawie. Mógłbym nawet służyć pani adresem dokładnym. Z pamięci numeru pani nie podam, ale napewne pamiętam, że Aleje Jerozolimskie. Zresztą mieszkanie lekarza łatwo odnaleźć. Doktór Anielski, zapamięta pani.

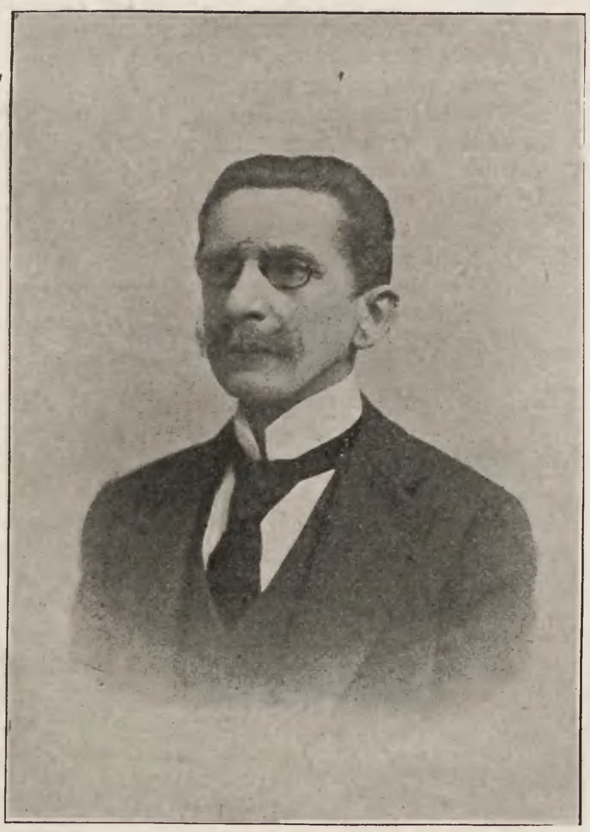
— Wystarcza mi to, co wiem, panie drogi, dzięki serdeczne... Teraz dopiero wiem, co mam czynić...

Pośpiesznie pożegnała się z nim Modrzewska i drobnym krokiem pobiegła w stronę swego mieszkania. Całkiem myślami zajęta, nie zauważyła nawet, iż jakaś męska postać śledziła ją bez przerwy i przed domem, do którego weszła Halka, w pewnem oddaleniu przystanęła na straży.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ustąpienie prezesa Laskowskiego.

W ubiegłym tygodniu przyniosły dzienniki lwowskie wiadomość, iż prezes dyrekcyi Banku krajowego we Lwowie, p. Kazimierz Laskowski, ustępuje w najbliższym czasie z zajmowanego stanowiska.



Ustąpienie prezesa Laskowskiego: Dawny delegat namiestnictwa w Krakowie, poseł sejmowy z Sanockiego Kazimierz Laskowski, ustępujący obecnie ze stanowiska prezesa Dyr. Banku kraj. we Lwowie. (Fot. „Marja“).

P. Kazimierz Laskowski (oto jego portret) był prezesem dyrekcyi Banku krajowego od r. 1902 Poprzednio przebywał przez szereg lat w Krakowie jako delegat namiestnictwa, był więc tam pierwszą osobistością. Przeszedłszy w stan spoczynku, objął wspomniane stanowisko w Banku krajowym po p. Bohdanie. Do zakresu jego działania należały sprawy personalne, dalej pożyczki gotówkowe, sprawy przemysłowe i inne. Zwłaszcza przy załatwianiu spraw personalnych miał p. Laskowski sposobność okazania swego charakteru, ze wszech miar czystego, swej energii i znajomości stosunków. To też urzędnicy Banku krajowego, odnoszący się do niego z całem zaufaniem, przyjęli wiadomość o zamierzonem ustąpieniu p. Laskowskiego z wielkim smutkiem. Bank krajowy zaś traci w ustępującym prezesie swej dyrekcyi bardzo pracowitego i bardzo zdolnego kierownika, który instytucyę tą, tak bardzą poważną, tak wybitną w rozwoju ekonomicznym kraju odgrywającą rolę, nietylko utrzymał na dotyczasowym poziomie, ale owszem, podniósł ją jeszcze wyżej. A kierownictwo Bankiem krajowym to rzecz wcale nie łatwa. Wszak instytucya ta rozporządza majątkiem w samym kapitale zakładowym i w rezerwach dochodzącym wysokości 8 milionów koron. Znaczna część funduszów Banku zaangażowaną jest udziałami w rozmaitych przedsiębiorstwach przemysłowych, ponadto udziela dużego kredytu takim przedsiębiorstwom. Nie może więc być obojętną rzeczą, kto stoi na czele tej instytucyi. Że zaś prezes Laskowski w krótkim stosunkowo czasie swego urzędowania dał się poznać jako pierwszorzędny finansista, że za czasów jego rządów rozwój Banku postępował bardzo pomyślnie, więc też żal ogólny wywołała wiadomość o jego ustąpieniu.

P. Laskowski posiada tytuł radcy dworu oraz podkomorzego, jest komandorem orderu Franciszka Józefa z gwiazdą, kawalerem orderu Leopolda, od wielu lat też zastępuje ziemian powiatu sanockiego, jako poseł w Sejmie. Ponadto zasiada w wydziałach wielu towarzystw.

Sokół jubilat.

Sokolstwo lwowskie święciło w niedzielę dnia 22 kwietnia, uroczystość 25 letniego jubileuszu pracy Sokolej Władysława Janikowskiego (oto jego portret), jednego z najbardziej około rozwoju idei Sokolej zasłużonego druha. Urodzony w r. 1856 we Lwowie, ukończył tu seminaryum nauczycielskie, poczem wstąpił do oddziału rachunkowego w Wydziale krajowym, gdzie obecnie zajmuje stanowisko rewidenta. Pracę w szeregach Sokolich rozpoczął w r. 1880. W samych zaczątkach tej pracy jego szczery, serdeczny sposób obejścia się z ludźmi, jasny humor, a przedewszystkiem piękny charakter i gorąca chęć pracy zjednały mu seree wszystkich. Wybrany w pierwszym roku do komitetu zabawowego, stał się jedną z głównych sprężyn, które działały około gromadzenia funduszów na budowę Sokolni, a następnie stał się filarem kółka amatorskiego. Ważniejszą jednak jest



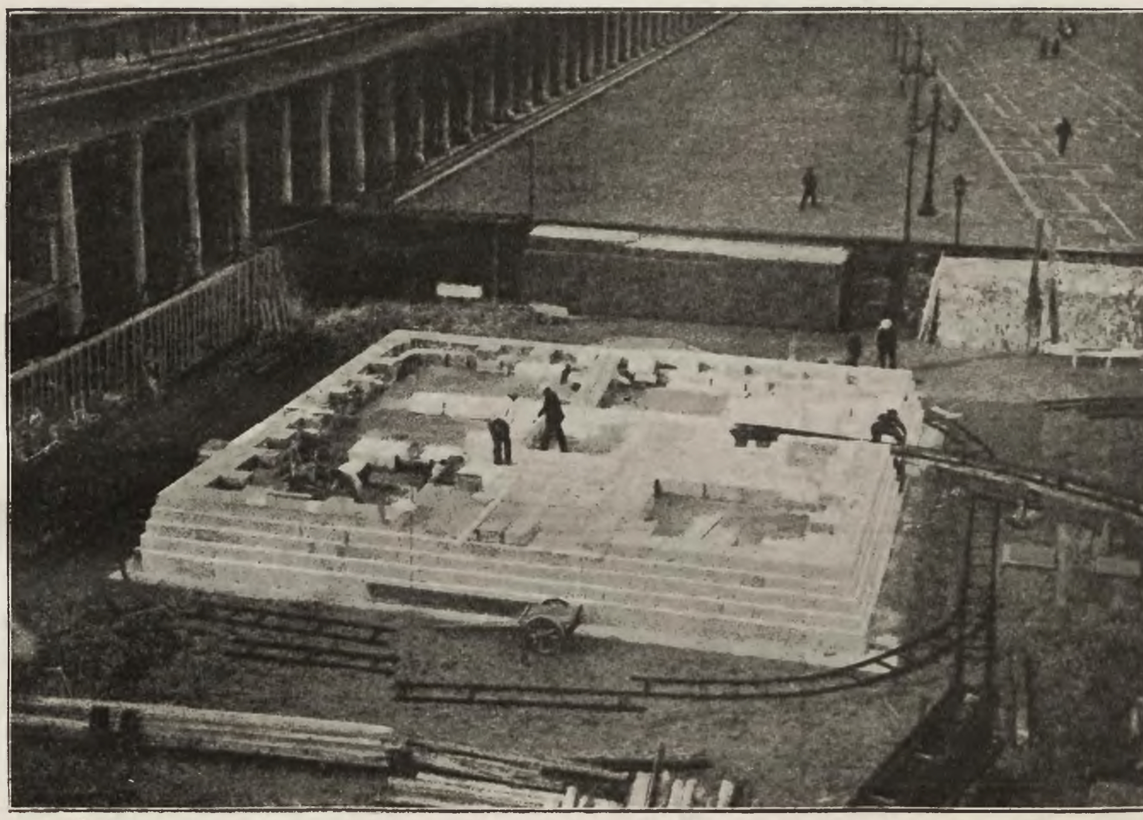
Fot. Bahrynowicz, Lwów.
Sokół jubilat: Druh Władysław Janikowski, najpopularniejszy Sokół lwowski.

jego działalność na polu gimnastyki. W r. 1882 został członkiem grona nauczycielskiego, w dwa lata potem nauczycielem stałym. W uznaniu zasług mianowany został już w 1890 r. zastępcą naczelnika „Sokoła“ lwowskiego. Po zorganizowaniu Związku otrzymał godność członka grona związkowego, a z chwilą organizacyj technicznych okręgów, został zastępcą, a w rok potem naczelnikiem



Mistrze kuchni polskiej: Komitet pierwszej Wystawy kucharskiej, urządzonej w kwietniu 1906 r. w pałacu Spiskim w Krakowie. (Nazwiska członków w załączonym artykuliku).

okręgu lwowskiego i na tem stanowisku pracował do r. 1905. Jako nauczyciel i naczelnik okręgowy rozwijał pracę usilną nietylko w kierunku rozwoju cielesnego młodzieży i członków, ale równie dodatnio wpływa w kierunku moralno-wychowaczym, dając z siebie piękny przykład: wzorowego patryoty, pracownika i rzecznika idei Sokolej. Dzielny orator, stara się wyzyskać każdą okoliczność, ażeby słowem nieść otuchę i zachętę w pracy Sokolej i zawodowej. Druh Władysław Janikowski należy do najbardziej we Lwowie popularnych Sokołów. Popularność tę zdobył sobie, występując jako znakomity deklamator na wielu obchodach narodowych. Z popularnością też zyskał i ogólną sympatyę, której dowodem była piękna uroczystość, w „Sokole“ dla uczczenia 25-letniej jego pracy.



Odbudowa zwalonej wieży: Prace przy zakładaniu fundamentów pod budowę nowej „campanilli“, w miejsce słynnej dzwonicy przy kościele św. Marka w Wenecyi, która przed niedawnym czasem runęła.

Mistrze polskiej kuchni.

Zdawna słynął Kraków z przedziwnych wytworów sztuki kucharskiej. Kunsztu tego snać nie zaniedbano, skoro nie podupadł w nowych czasach, lecz przeciwnie, rozwinął się nawet. Wiedzą o tem smakosze, którzy w gościnę do Krakowa przybywając, chwalą sobie wielce kuchnię tutejszą w publicznych jadłodajniach, jakby na potwierdzenie ogólnego sądu miejscowych śniadankiewiczów. Tym zaś widocznie smakować musi wszystko przy restauracyjnych stoliczkach, skoro — rzecz wiadoma — przez pół mieszkają w handelkach, ku utrapieniu żon i matek. Co to był za rwetes niedawno wśród właścicieli delikatnych podniebień, gdy kucharze krakowscy urządzili w Pałacu Spiskim publiczną wystawę swoich arcydzieł. Tłumy tam biegły podziwiać i kosztować. Daliśmy wtedy Czytelnikom naszym umyślne zdjęcie fotograficzne z wystawy. Dziś zamieszczamy grupę komitetu jej organizatorów. Oto nazwiska owych mistrzów kuchni polskiej: w pierwszym rzędzie siedzą, licząc od lewej ku prawej: pp. Michał Butrak, Kasper Świstak, Filip Basałek, Wojciech Bik, Jan Czarnecki, Wincenty Orda, Antoni Teslar, Antoni Goliński, Jan Kurcz, Jakób Fura, Józef Bielawski, Feliks Kurcz. W drugim rzędzie stoją, licząc znów od lewej ku prawej: pp Stefan Kasza, Ignacy Kaczmarski, Jan Fiut, Wojciech Kwaśniewski, Władysław Morowa, Stefan Trytko, Jan Abratowski, Stanisław Warzocha, Mieczysław Ostrowski, Józef Pospuła, Józ. Michalczyk, Stanisław Dziuła, Gustaw Gaweł.



Widmo rewolucyi we Francyi: Widok salonu w zamku właściciela fabryk we Fressenneville, zdemolowanym z zemsty przez strejkujących robotników.

Odbudowa zwalonej wieży.

Wspaniała wieża — dzwonica kościoła św Marka w Wenecyi, znana w całym świecie pod nazwą „Campanilla św. Marka“, runęła przed półtora rokiem, tak, że nie pozostało z niej nic prawie. Wieża ta była jednym z najpiękniejszych zabytków architektonicznych pływającego miasta, ściągała też do Wenecyi setki turystów z całego świata. Nic dziwnego więc, że rząd dokładał wszelkich starań, aby wieżę napowrót postawić nie ujmując jej, o ile możności, ani odrobiny, z jej dawnego stylu.

Zabrano się więc energicznie do wzmocnienia fundamentów. Praca ta była ogromna, jak to zresztą najlepiej można widzieć na załączonej obok illustracyi, jednak w miesiącu bieżącym prace ukończono i rozpoczęto murowanie powyżej cokołu. Jedną trzecią część cegły, przeznaczonej do odbudowy Campanilli, już dostawiono na miejsce, roboty postępują więc w szybkiem tempie.

Cegła do budowy przyrządzoną jest z gliny, wyrabianej w Cosale, a mającej piękną barwę. Glinę tę przerabiają maszyny, a cegła jest ręcznie formowana, umyślnie z tej przyczyny, aby powierzchnia jej była chropowata, aby więc wapno z cementem łatwo się czepiało. Wypalanie cegieł odbywa się zapomocą drzewa, aby przy użyciu węgla kamiennego nie wydzielały się połączenia siarkowe, utrudniające połączenie się wapna z cegłą. Rozmiary cegieł 30 — 15 — 6 centymetrów odpowiadają w zupełności wymiarom cegieł, używanych w XIV wieku do naprawy budynków weneckich.

Przy zawaleniu się wieży zniszczoną została również tak zwana „Loggietta“, której twórcą był Sansavino, a z której mnóstwo rzeźb zostało zupełnie poniszczonych, lub znacznie uszkodzonych. Architekci dokładają wszelkich starań, aby tę „Loggietę“ o ile możności zupełnie wiernie z pierwowzorem odrestaurować, w czem wspomagają ich dzielnie artyści-rzeźbiarze, którzy uszkodzone rzeźby z całą starannością naprawiają.



Widmo rewolucyi we Francyi: Widok zamku właściciela fabryk we Fressenneville, spalonego z zemsty przez strejkujących robotników.



Widmo rewolucyi we Francyi: Strejk pocztowy w Paryżu; w miejsce strejkujących listonoszów wojsko roznosi pocztę.



U stóp Wezuwiusza: Z pod gruzów Ottajano po katastrofie odgrzebują żołnierze trupy ludzkie.

Widmo rewolucyi we Francyi.

Strejk węglarzy, tkaczy, służby pocztowej, inne zapowiedziane strejki utworzyły razem widmo rewolucyi socyalistycznej, której obawiają się republikanie francuscy. Strach ma wielkie oczy, więc pokazuje republikanom to widmo już takie bliskie, że — kto wie — czy nie zmieni się ono w krwawą rzeczywistość bardzo prędko. Może rewolucya zacznie się 1 maja, kiedy na rozkaz Powszechnego Związku syndykatów robotniczych ma stanąć wszelka zgoła praca? — zapytują zatrwożeni republikanie i zaraz potem się oglądają na wojsko, czy też ono wytrwa pod państwową chorągwią? Prasa ubolewa nad tem, że republikańska forma rządu dała nadzwyczajną siłę syndykatom robotniczym, ktore natychmiast się zmieniły w publiczne biura propagandy socyalnego przewrotu.

Francya niewątpliwie będzie miała rewolucyę socyalistyczną, bo prostą drogą zmierza do niej, ale nie wybuchnie ona ani 1-go maja, ani nawet w tym roku. Zaburzenia za wcześnie się zaczęły i nie są prowadzone podług jednego planu, a zatem rząd zdoła je stłumić. Zresztą socyaliści między sobą się poróżnili. Znaczna ich część pod wodzą Jaurésa nie chce walki orężnej i rozlewu krwi, zaleca natomiast „unieruchomienie życia“, to znaczy powszechną bastówkę, lecz już wiadomo z prób, czynionych w tym kierunku w Hiszpanii i Włoszech, że takie bastówki się nie udają.

Podniecenie rewolucyjne objawia się teraz nie tylko we Francyi, bo są jego objawy w Belgii i Portugalii, gdzie się zbuntowało kilka okrętów wojennych. Niezawodnie są to symptomata zaraźliwości wszelkich ruchów rewolucyjnych. Szerzy się ta epidemia z Rosyi, lecz jako prąd zewnętrzny, którego przyczyny nie tkwią w miejscowych warunkach życia i stosunkach, nie zdoła on porwać za sobą wielkich mas ludności.

U stóp Wezuwiusza.

Kraina u stóp Wezuwiusza, w której śmierć zbierała swe żniwo, zaczyna powracać do życia. Niebo rozjaśniło się, słońce świeci nieporównanym blaskiem południa, rozpasane żywioły uspokoiły się. W ludzi wstąpiła otucha. Wczorajszy dzień, pełen jeszcze zniszczenia, pierzcha, jak straszny sen, jak zmora, wobec pogodnego nieba. Ci, którzy niedawno uciekali na oślep, nie wiedząc dokąd na kraj świata, zaczynają już powoli wracać do swoich siedzib.

Smutny powrót... Cała znaczna stosunkowo okolica wygląda jak wielkie cmentarzysko, jak ogromny zbiór pogorzelisk. Kopyto końskie, które przypadkowo rozrzuci mrowisko, nie zdoła poczynić takich spustoszeń, jak rozszalały Wezuwiusz. Ale podobnie jak mrówki ludzie pracują tam niestrudzenie nad zatarciem śladów zniszczenia. Wzdłuż drogi nadmorskiej od Neapolu do Torre del Greco żołnierze pracują nad usunięciem popiołu, ale ko'ej lokalna z trudem dochodzi tylko do San Giovanni. Popiół jest lotny i czarny po tej stronie Wezuwiusza, natomiast po stronie przeciwnej, to jest wschodniej, jest grubo ziarnisty i jasny. Pod takim popiołem spoczywają dziś ludzie i domy w Ottajano. Widna na naszej illustracyi droga z Resiny do Torra del Greco, zwana przez Włochów „Złotą milą“, jedna z najpiękniejszych na świecie dla swej wegetacyi, wygląda jak pustynia. Cudowne ogrody i gaje, ogołocone zupełnie z pysznej zieleni, wyglądają przerażająco smutnie.

Do Neapolu, Castellamare i na pobliskie wyspy schroniło się około 30.000 emigrantów. Na paru naszych rycinach widzimy grupy tych biednych wychodźców. Inne fotografie dają pojęcie o obrazach jakie, jakie roztaczają się dziś przed okiem podróżnego w najpiękniejszym zabytku świata, oraz o pracach, jakie musiano przedsiębrać po strasznej katastrofie.



U stóp Wezuwiusza: Odgrzebywanie przez mieszkańców Terzigno ulic z pod nawały popiołu wulkanicznego.



U stóp Wezuwiusza: Odgrzebywanie stacyi kolejowej w Ottajano, zasypanej deszczem popiołu, piasku i kamieni w czasie wybuchu wulkanu.

Odzyskanie rogu wielickiego.

Kopalnie soli w Wieliczce posiadają mnóstwo nadzwyczaj cennych pamiątek, zebranych w ciągu kilkuwiekowego trwania kopalni. Między innemi prawdziwą ozdobę tych pamiątek stanowił niepospolitej piękności róg, oprawny w srebro, którego fotografię zamieszczamy obok. Dzieje tego rogu w ostatnich czasach omawiane były szeroko w całej prasie polskiej, nie od rzeczy więc będzie podać na tem miejscu kilka ważnych szczegółów, odnoszących się do jego ofiarodawcy.

Róg wielicki, taką nazwą zawsze go oznaczano, darował salinom Seweryn Bonar, burggrabia wielicki. Pochodził on z rodziny niemieckiej, która w drugiej połowie XV w. przybyła do Krakowa i tu się osiedliła. Z biegiem czasu rodzina Bo-

narów rosła w znaczenie i godności, jakoteż w majątek, tak, że z końcem XVI wieku należała już do najmożniejszych rodów w Polsce. Na nagrobku Seweryna Bonara w kościele Maryackim w Krakowie czytamy, że Bonar był kasztelanem bieckim, żupanem, burgrabią i wielkim prokuratorem ziemi krakowskiej itd. Jako wielki żupan musiał bywać bardzo często w Wieliczce, aby osobiście czuwać nad salinami i z tej to, zdaje się, przyczyny darował salinom ów wspaniały róg.

Róg ten, jak to zresztą poznać na załączonej obok rycinie, wspiera się na srebrnej, masywnej podstawie, na której widać klęczącego średniowiecznego pachołka, wykutego w srebrze z mistrzowstwem, cechującem najcelniejsze ówczesne dzieła sztuki. Wśród mnóstwa ozdób, od jakich roi się na puharze, widać herby Bonarowa i Ogończyk, dalej herb rodziny Sforza i orła Jagiellonów. Róg ten ofiarowany został kopalni w roku 1534.

Nazwisko mistrza, którego dziełem jest ten róg wysokiej wartości artystycznej, jest nam nieznane, trzeba jednak przypuszczać, że wyszedł on z pod dłuta jednego z największych mistrzów owoczesnych. Wskazuje na to choćby artyzm niezwykły, z jakim każdy szczegół jest wykończony, wskazuje dalej fakt, że Bonarowie lubieli otaczać się wielkimi artystami i uczonymi swego czasu. Bywali u nich np. Hans Suess z Kulmbachu, Albrecht i Hans Dürer, Gian Maria Padovano i inni.

Róg wielicki, przechowywany w urzędzie górniczym w Wieliczce, przed 30 laty znikł i odszukany został dopiero po roku w zbiorach archeologicznych barona Nataniela Rotszylda w Wiedniu. Okazało się, że syn ówczesnego zarządcy kopalni, młody, lekkomyślny człowiek, róg ten sprzedał pewnemu handlarzowi starożytności w Wiedniu za 300 guldenów, antykwaryusz zaś sprzedał go baronowi Rotszyldowi. Kroki, podjęte przez zarząd kopalni przeciw nabywcy rogu, nic nie pomogły, bo kupno bar. Rotszylda wykonane było zupełnie prawidłowo. Baron Rotszyld jednakże, nie chcąc pozbawiać kopalni cennej pamiątki, przyrzekł i notaryalnie się zobowiązał, że po śmierci jego róg zostanie zwrócony jako dar zarządowi kopalni. I słowa dotrzymał. Rotszyld umarł przed rokiem i zobowiązał swoich spadkobierców do zwrotu rogu, który też w tych dniach znakomity znawca starożytnej sztuki złotniczej, konserwator i radca górniczy Leonard Lepszy przywiózł do Wieliczki. Na razie róg umieszczony został w kasie urzędu salinarnego w Wieliczce, a stamtąd przeniesiony będzie albo do zbiorów muzeum salinarnego w Wieliczce, albo też złożony będzie jako depozyt w Muzeum Narodowem w Krakowie.



U stóp Wezuwiusza: Deszczem popiołu z wulkanu zasypana na metr wysoko droga z Rosiny do Torre del Greco, słynna z urodzajności, tak zwana: „Złota mila“.



Fot. amator Jan Czernecki w Wieliczce.

Odzyskanie rogu wielickiego: Słynny róg wielicki, dar wielkiego żupana Seweryna Bonara, skradziony przed 30 laty i w Wiedniu sprzedany, który ze zbiorów barona Nataniela Rotszylda, przeszedł teraz znowu na własność Salin wielickich.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

7 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

Dlatego skazano go na dożywotne więzienie.

— Oj, tak — zakończyła pani Wilding — ale wiecie może, kto zdradził mego biednego męża? Nie byłby go nikt dostał na całym świecie, bo mój Emil był chytry, jak lis, ale jest tu jeden tajny szpicel, Stein się nazywa, o, to pies! — on to zwąchał i on to aresztował mojego Emila! Żebym tak mogła tego draba dostać w swe ręce, zamęczyłabym ze zimną krwią, jak psa! Wszystko mi jedno, choćbym za to miała pójść do piekła!

Mówiła to z taką wściekłością i oburzeniem, oczy błyszczały jej takiemi piekielnemi blaski, że starzec musiał uwierzyć, iż ta kobieta spełniłaby swoją groźbę przy najbliższej nadarzającej się sposobności.

— Muszę wam jeszcze jednę rzecz opowiedzieć, moi złoci — zaczął znowu starzec drżącym ze starości głosem — i ja się przez tego psa dostałem za kratki. Ja podrabiałem pieniądze — no, mój Boże, czy to znów taka wielka zbrodnia, jeżeli się podrobi parę banknotów, to przecie kosztuje roboty. — Któż wywąchał, że to ja właśnie tem się zajmuję? Któżby, jak nie Stein?! Dostałem za to sześć lat kryminału. Możecie mi wierzyć, że jak go kiedy dostanę, to tego psa utłukę! Ale chciałem się was jeszcze o coś zapytać. Nie macie przypadkiem jakiej izby do wynajęcia?

— No, no, możecie u mnie mieszkać. Zdaje mi się, że jesteście zmęczeni, więc was zaraz na nocleg zaprowadzę.

Wzięła lampę i kazała staremu iść za sobą. Zaledwie jednak uszli parę kroków, kiedy stara uczuła nagle na ramieniu silną jakąś rękę i usłyszała groźne słowa:

— Ani pisnąć, bo jesteście zgubieni!

Krzykła i cofnęła się przerażona.

— Zaprowadźcie mnie do izdebki, w której więzicie kobietę, wczoraj tu przyniesioną — rozkazał stary, wyciągnąwszy nagle rewolwer.

— Ha! — wrzasła stara, a oczy, zdawało się, rozsadzą jej czaszkę za chwilę. — Toś ty detektyw Stein!

— To nic nie ma do rzeczy! Dalej! Prowadźcie mnie do niej!

Stara ani się nie ruszyła.

— No, prędzejże, prędzej! Czego się ociągacie? Słuchać, albo źle się to dla was skończy! A jeżeli mnie chcecie podejść, to zwracam wam uwagę, że cały dom jest otoczony policyą!

— No, to chodźcie — mruknęła, mierząc go nienawistnem spojrzeniem.

Zeszła po schodach na dół, otworzyła piwnicę — stary szedł za nią. Na dole postawiła lampę na schodach, odsunęła rygiel od bocznych drzwi i syknęła:

— Tutaj jest!

— Idźcie naprzód! — rozkazał komisarz Stein, bo on to był w istocie. Usłuchała.

Zgniłe, stęchłe powietrze przepełniało piwnicę. Stein był wściekły z oburzenia, że taka stara wiedźma więzi w takim obskurnym lochu delikatny kwiatek wielkomiejski, jakim bezwątpienia musiała być nieznajoma dama.

— No chodźcież! — zawołała stara.

Zaledwie jednak przeszedł przez próg, drzwi za nim nagle się zamknęły, lampa zgasła — w tejże chwili uczuł, że ziemia mu się z pod nóg usuwa, wreszcie grobową ciszę przerwał straszliwy krzyk, jaki się wydarł z jego gardła.

Ostatnim dźwiękiem, jaki jeszcze słyszał, był głośny, szyderczy śmiech starej wiedźmy.

Stała ona tuż obok otworu, zacierała ręce z radości i syczała:

— Ha, nareszcie się pomściłam! Mój drogi, kochany Emilu, żebyś ty mógł widzieć, jak twoja żona umie się mścić na tym, który cię do krymi nału wpakował!

Zapaliła na nowo lampę i zaświeciła nad otworem. Wprawdzie światło jej nie rozjaśniło zupełnie ciemności, jakie panowały w dole, ale kocie oczy starej zdołały jednak rozpoznać na ziemi w głębi piwnicy ciemne kontury jakiejś leżącej postaci. Po chwili uszu jej dobiegł głuchy jęk.

— Aha, przychodzi do przytomności — mruknęła do siebie i roześmiała się szatańskim śmiechem. — Przebudź się z omdlenia, ocknij się! Nie zaszkodzi, jeśli się odrazu dowiesz, jak straszną śmierć ci gotuję. Prawdopodobnie nadejdzie tu jeszcze mój syn. On dzieła zemsty dokona!

A po chwili dodała szyderczo:

— I jemu się zdawało, że potrafi podejść kobietę, taką, jak ja! Hi hi!

Pokasłując odeszła z nad otworu z lampą w ręce, ucieszona, że ma nareszcie w swej mocy najzaciętszego wroga.

Otwór, do którego Stein wpadł, był wąski i zaledwie tak szeroki, że dorosły mężczyzna mógł się w nim ledwie wyprostować. Dawniej służył on do tego, aby kości, których się zemleć nie dało, tam wpadały. Tuż przy otworze znajdowała się gruba zasuwa; gdy się ją odsunęło, otwierało się równocześnie rurę, wiodącą do pobliskiej rzeki, a otwór zaraz wypełniał się wodą. Za odsunięciem drugiej zasuwy otwierało się rurę przeciwległą, do kanału wiodącą i woda wypływała znowu razem z kościami.

Od paru lat jednak młyn stał cicho. Stara Wildingowa nie chciała dalej prowadzić interesu, gdy męża jej zamknięto w kryminale. W całej dzielnicy opowiadano sobie o tym młynie najrozmaitsze rzeczy i kto mógł, omijał go zawsze zdaleka, choćby mu nawet kawał drogi dokładać przyszło. Chodziły wieści między ludem, że nawet dawniej, nawet za życia starego Wildinga, młyn ten był straszliwą jaskinią. Zwabiano doń ludzi, ale zazwyczaj żaden ze zwabionych nie przekroczył już progów młyna z powrotem. Opowiadano sobie po cichu, że młynarz i jego żona, którą zresztą nie nazywano nigdy inaczej, jeno czarownicą, obrabowywali swoje ofiary, a potem męli je razem z kościami. Opowiadano sobie nawet straszną historyę, która podobno miała zajść w młynie zaledwie przed pięciu laty.

Mówiono mianowicie, że stara Wildingowa miała była córkę, która pięknością przewyższała jeszcze swego brata i w przeciwieństwie do mieszkańców młyna była bardzo dobrą, bardzo uczciwą dziewczyną. Miała długie, krucze, hebanowe włosy, prześliczne czarne oczy, a jej mała twarzyczka wyglądała, jakby wycięta z jakiego obrazu Murilla. Kochało się w niej bardzo wielu młodych, starano się o nią powszechnie, ale ona wszystkim dawała kosza.

Wildingowa, nie wiedząc już, co robić, zaczęła na nią kląć.

Zosia nic na to wszystko nie odpowiadała. Pewnego dnia jednak i ona straciła swoje serduszko. Zabrał je młody, piękny, jak marzenie, artysta malarz, którego przypadkiem spotkała na ulicy i który do niej kilka słów zagadał.

I od tej chwili, kiedy sobie oboje po raz pierwszy spojrzeli w oczy, poznali, że dusze ich do siebie należą, że związał je społem potężny węzeł — miłości szczerej, prawdziwej miłości.

Kiedy jednak malarz oświadczył jej, że pójdzie do jej rodziców i poprosi ich o jej rękę, prosiła go Zosia:

— Nie chodź do nich, proszę cię. Za kilka dni ja będę już pełnoletnią i pójdę z tobą, gdzie zechcesz. Ale nie chodź do nich, bo nie chcę, żebyś ich poznał nawet. Błagam cię o to!

Nie rozumiał jej dobrze. On, jedynak, ubóstwiany przez matkę, niedawno zmarłą, nie mógł sobie wyobrazić, że jego urocza kochanka ma złych rodziców. Postanowił więc nic jej nie mówić i odwiedzić ich.

I poszedł tam pewnego dnia, wiedząc, że Zosi o tej porze niema. Zobaczywszy jednak młynarza i jego żonę, stracił rezon, zląkł się nawet i udał, że przyszedł załatwić pewien interes do młyna.

Oczy starej Wildingowej wpiły się formalnie w rękę młodzieńca, który nosił na palcu prześliczny dyamentowy pierścień, najdroższą pamiątkę po matce. Stara dała więc młynarzowi jakiś znak i oboje wyszli z pokoiku.

Naraz, w chwili, kiedy już malarz zaczynał żałować, że nie usłuchał Zosi i wbrew jej woli poszedł do młyna, z przeciwległych drzwi wybiegł stary Wilding i pchnął go sztyletem w plecy, tak, że młodzian zwalił się odrazu jak kłoda na ziemię. W tej samej chwili powstał przy drzwiach jakiś hałas. Zdawało się, że ktoś chciał przemocą wedrzeć się do pokoju, ale wstrzymywała go młynarka. Już morderca oglądał się za miejscem, gdzieby się mógł bezpiecznie ukryć, bo trupa usunąć nie mógł, gdy drzwi się nagle otworzyły i do pokoju wpadła Zosia.

Przez sekundę stała jak osłupiona, utkwiwszy wzrok w śmiertelną bladością pokryte oblicze ukochanego, potem rzuciła się z przeraźliwym krzykiem na trupa. Krzyk ten słyszano w całem sąsiedztwie.

Potem zerwała się jak zraniona tygrysica, rzuciła się na matkę i chciała ją udusić. Z trudem udało się młynarzowi wydrzeć żonę z rąk córki, która nagle z bólu zwaryowała.

Historyę tę opowiadał jeden z czeladników, ale kiedy go policya zawezwała, aby to wszystko potwierdził, znikł gdzieś nagle bez śladu. Młynarza i jego żonę uwięziono, z braku dowodów jednakże musiano ich wkrótce wypuścić.

Co się stało z piękną Zosią, o tem nikt nie wie. Ludzie twierdzą, że stara czarownica musiała ją zemleć razem z kośćmi, inni znów głoszą, że widzieli ją pokrwawioną w jednem z okien piwnicznych.

. . . .

Detektyw Stein leżał jak trup na twardych, sękatych dylach. Jak długo leżał nieprzytomny, tego sam nie wiedział. Dopiero kiedy przyszedł do siebie, uczuł straszliwy, palący mu wnętrzności ból, tak wielki, że o mało nie zaczął krzyczeć. Dotknął się czoła — spływała po niem jakaś lepka ciecz — musiał sobie porządnie rozciąć czoło, skoro krew spływała mu ciurkiem po policzkach. Chciał się podnieść, ale upadł z krzykiem na ziemię. Zdawało mu się, że sobie wszystkie kości pogruchotał. Zaczął więc kląć samego siebie, że się dał podejść kobiecie i przez własną nieostrożność wpadł do tego dołu, z którego nie było sposobu ucieczki.

Ale do wszystkiego, nawet do bólu, można się przyzwyczaić. Udało mu się w końcu wyjąć z kieszeni zapałki. Widział już wprawdzie, gdzie się znajduje, ale nie przeczuwał nawet, że to miejsce wprost straszliwe.

Każdy ruch, choćby najmniejszy, sprawiał mu niewypowiedziany ból. Opanowało go znużenie i takie osłabienie, że był przekonany, iż zbliża się już jego ostatnia godzina. Zdawało mu się, że z każdej szczeliny, z każdego zakątka, wyglądają ku niemu łyse, dzwoniące szczękami trupie czaszki.

— Jeszcze mnie nie dostaniesz, kostusiu — szeptał rozognionemi od febry wargami — przecież to byłoby skandal, gdybym ja umarł przez własną nieostrożność i przez podstęp tej starej jędzy.

Przypomniał sobie, że ma w kieszeni flaszeczkę koniaku. Wyjął ją i napił się trochę. Uczuł zaraz, że nowe siły weń wstąpiły.

Jedynie dzięki temu, że był przebrany i że sobie zrobił ze starych szmat pokaźny garb, bo przyszedł do Wildingowej jako stary, zgarbiony już człowiek, żył jeszcze. Bo gdyby nie to, byłby sobie odrazu wszystkie kości pogruchotał na sękatych dylach.

Ale jak długo by to wszystko trwało, wiedział jednak, że ostatecznie musi zginąć, bo z tej pułapki wyjścia nie było. Nie mógł nawet marzyć o wydrapaniu się na górę i ucieczce, bo oślizgłe ściany nie pozwalały się uczepić, zresztą Stein był człowiekiem niezbyt wysokim. Sama myśl o tem, że w tej norze musi umrzeć i to najstraszniejszą śmiercią, bo śmiercią głodową, przyprowadzała go do szaleństwa.

Naraz — wytężył słuch. Zdawało mu się, że ktoś podniósł zdradliwą przykrywę otworu. Słuchał z coraz większem natężeniem. — Nie, to nie złudzenie. Ponad nim rozbrzmiewał suchy, ochrypły głos starej Wildingowej.

— Tak, mój chłopcze! Pomścij twojego ojca! Ten drab, który mnie męża odebrał i wtrącił do więzienia, leży tu pogruchotany. Otwórz zasuwę! Niech wpłynie woda i wyniesie jego trupa do kanału!

— Jeszcze nie, matko — dał się słyszeć jakiś męski głos, którego dźwięk zelektryzował detektywa.

— Wielki Boże! — szepnął Stein — gdzie ja ten głos słyszałem?

Nie miał jednak czasu, aby się nad tem zastanawiać, bo mężczyzna ów na górze mówił dalej:

— Za godzinę dzieło zemsty będzie skończone. Rzucę tam jeszcze coś, co powinno zniknąć na zawsze z oczu ludzkich

W tej chwili usłyszał detektyw, że coś koło niego spadło, a spadło mu wprost na twarz. Podniósł rękę — było to coś bardzo lekkiego, prawdopodobnie jedwabna chusteczka. I znowu przykrywa zapadła, a uszu jego doleciał jeno odgłos kroków oddalających się dwojga łotrów.

— A więc stara ma jeszcze syna; musi to być nieodrodny synalek — mruczał detektyw, trzymając w ręku jedwabną chusteczkę. — Ale gdzie i kiedy ja ten głos słyszałem? Ten miękki, łagodny głos? Niema się jednak co nad tem namyślać. Zbrodniarz przecie wyraźnie powiedział, że wróci tu za godzinę, aby dzieła zemsty dokonać. Żebym

jeno wiedział, co on myślał, mówiąc o wodzie, którą tu miał wpuścić?

Zapalił więc raz jeszcze zapałkę i próbował wstać. Udało mu się to, choć z trudem, ale naraz z piersi wydarł mu się okrzyk zdziwienia i przerażenia, gdy blask zapałki padł na jedwabną chusteczkę, którą ciągle trzymał w ręku.

Jak szalony wpił wzrok w białą chusteczkę, na której znać było czarne plamy, ale zanim im się bliżej przypatrzył i mógł rozpoznać, że pochodziły one od zaskrzepłej krwi, wpadły mu w oczy dwie litery „R. P.“ z hrabiowską koroną, wyszyte żółtym jedwabiem. Przypomniał sobie odrazu, że taką samą chusteczkę znalazł w surducie bezimiennego. Skądże jednak, do kata, chusteczka ta znalazła się w ręku synalka Wildingowej?

Przetarł oczy, zapalił znowu zapałkę i oświetlił dokładnie krwawe plamy.

— Nie pomyliłem się! — nie! — tak jest! — To nie fantazya, widzę przecie dokładnie — wyraźny odcisk krwią splamionej ręki — lewej ręki — z blizną!

— Czyż bezimienny nie upierał się przytem, że jego morderca ma głęboką bliznę na lewej ręce? Czyżby więc tutaj należało go szukać?

Tak go to wszystko uderzyło, że nie słyszał wcale, jak przykrywę otworu znowu podniesiono i jak jakiś mężczyzna odsunął zasuwę od rzeki.

Dopiero kiedy usłyszał szum wody i zobaczył, jak fale zaczęły nań z góry płynąć i coraz bardziej go obejmować — krzyknął rozpaczą i boleścią drżącym głosem — w tej sekundzie bowiem stanęła mu przed oczyma straszliwa śmierć.

Wyżej i coraz wyżej podnosiła się zimna jak lód woda, teraz sięgała mu już do karku — jeszcze pięć minut, a musi się już utopić. Raz jeszcze wydarł mu się z piersi straszliwy krzyk, który się zmieszał z szumem wody, a na górze rozbrzmiał dziki, szatański śmiech. W tejże chwili zapadła z hukiem przykrywa lochu.

ROZDZIAŁ XIII.

Niewolnica strasznego młyna.

Stara Wildingowa, opuściwszy skazanego już na śmierć Steina, którego najbardziej na całym świecie nienawidziła, udała się na górę, do małej izdebki.

Przy jej wejściu podniosła się z tapczana blada, prześliczna kobieta. Zanim stara jędza zdołała słowo wykrztusić, milutkie to stworzonko, z twarzyczką bladą jak płótno, zapytało drżącym głosem:

— Pytałam się pani już dzisiaj rano, kto mnie tu w ten straszny loch przyniósł? Proszę więc panią raz jeszcze, niech mi pani na to pytanie odpowie.

— No, powiedziałam ci już, piękna gołąbeczko, już dzisiaj rano: twój narzeczony.

— Nie mam narzeczonego, jestem zamężną i proszę panią, na miłość Boską, niech mnie pani stąd wypuści; muszę iść do mego męża, który się pewnie troska teraz o mój los.

Stara potrząsła głową.

— Choćbyś mnie tam nie wiem jak prosiła — to wszystko po próżnicy! Cóżby na to powiedział twój kochanek, twój Jasiek, gdybym jego ptaszynie pozwoliła czmychnąć z gniazdka?

Młodej kobiecie stanęły łzy w oczach a powieki jej pokryły się rumieńcem oburzenia.

— Obrażacie mnie każdem słowem — zawołała głosem, przerywanym łkaniem — jestem hrabina Erna Pardua, uprowadzono mnie tu przemocą — a — ciągnęła dalej coraz bardziej stanowczym głosem — teraz, kiedy już wiecie, kim jestem, teraz mnie chyba wypuścicie!

Patrzała swemi czarownemi, pełnemi niewinności dziecięcemi oczyma na starą jędzę, która się ironicznie śmiała, otwierając na całą szerokość swoje bezzębne usta.

— Naiwna jesteś, aż strach! — rzekła jej stara. — Ja cię stąd nigdy nie wypuszczę, więc nawet nie trudź się nadaremnie. Właśnie słyszę na schodach kroki twojego kochanka. Wesołej zabawy! — rzuciła i szybko wyszła, zamykając drzwi za sobą.

Erna drżała na całem ciele. Z otwartemi szeroko oczyma słuchała trwogą zdjęta ironicznych słów starej.

— Idźcież na górę! — usłyszała znowu głos starej wiedźmy. — Kochanka czeka już na ciebie!

Coraz bardziej zbliżały się kroki, klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się otwarły, a w nich spostrzegła straszliwie brzydkiego człowieka, którego widok zmroził jej odrazu krew w żyłach.

W ręce trzymał lampę i patrzał na nią oczyma, pełnemi dzikich blasków i przemocą hamowanej, iście zwierzęcej żądzy. Tłuste jego wargi krasił obrzydliwy śmiech, kiedy się ozwał do przerażonej:

— No, jakże się ma moja dziecinka?

Chociaż młoda hrabina przeczuwała, że od tego draba, tak jej wstrętnego, niema się co spodziewać litości, mimo to jednak rzuciła się przed nim na kolana i wyciągła błagalnie rękę ku niemu.

— Na miłość Boską! — prosiła — nie mów pan tak do mnie; mylisz się pan zapewne i sądzisz, że jestem młodą dziewczyną. Ale ja już jestem mężatką i dlatego proszę pana, niech mnie pan stąd wypuści. Muszę iść do domu, do męża!

Pochyliła nieco w tył swą małą główkę, jej malutkie oczęta patrzały nań z takim lękiem, twarz jej tak była marmurowo biała, że w każdym innym człowieku musiałaby była obudzić litość. Ale ten łotr widział w niej tylko prześliczną kobietę. Zdawało mu się w tej chwili, że nigdy piękniejszej nie widział, a jej czarowne wdzięki zamąciły odrazu zmysły tego człowieka, którego serce zdolne było tylko do zwierzęcej miłości.



Wtem — w dłoni Erny błysnął rewolwer, którego lufa skierowana była wprost na klowna, który, ujrzawszy broń, zaklął wściekły i cofnął się.

W oczach jego płonęły dzikie ognie. Postawił lampę na stole i nie mówiąc ani słowa, podszedł ku niej, dysząc ciężko ze żądzy. Erna przerażona skoczyła w najwęższy kąt izdebki.

— Ależ nie bój się mnie tak — syknął klown, próbując nadać swemu głosowi łagodny dźwięk. — Ja na seryo nic złego z panią zrobić nie zamierzam.

— Więc czemuś mnie pan tu przyniósł? — Jeżeli panu chodzi o pieniądze, to w tej chwili wystawię panu czek i możesz je pan sobie od mego bankiera odebrać, ale mnie pan wypuść stąd!

— No — rzekł — więc niech się pani dowie prawdy. Jest jedna kobieta, której na tem ogromnie zależy, aby pani znikła ze świata. Namówiła mnie, abym panią zamordował. Przyszedłem do pałacu pani z tym zamiarem, aby panią zabić, wtem ujrzałem panią, podobną do anioła, pogrążoną we śnie — jednem słowem zakochałem się w pani i postanowiłem panią wyratować. W domu nie mogłaś pani pozostać, bo w takim razie byłaby panią zamordowała sama ta kobieta, która kocha męża pani — dlatego panią tutaj przyniosłem.

Odetchnął głęboko, otarł sobie pot z czoła, bo nieprzyzwyczajony był widocznie do tak długiej gadaniny i podszedł ku hrabinie. Głos jego drżał od wściekłej żądzy, kiedy mówił dalej:

— Kocham panią od chwili, kiedy panią ujrzałem, kocham panią tak, że zerwę ze wszystkimi krewnymi, aby z panią wyjechać i strzedz pani. Tutaj pani pozostać nie może, bo z każdego kąta czyha na panią śmierć. Niech się pani nie opiera, dalibóg nic złego nie zamierzam.

Cudna twarzyczka Erny pokryła się znowu trupią bladością. Pierś jej falowała, a w gardle dech jej zatykało.

— Zlituj się pan — błagała — uwolnij mnie pan. Jeżeliś mnie pan wyratował od śmierci, to jestem panu za to szczerze wdzięczna, ale teraz pozwól mi pan powrócić do domu; mój mąż będzie czuwał nademną.

Chciała przejść obok niego, ale Jan zamknął jej drogę i chwycił ją za rękę. Wyrwała mu ją z mocą.

— Nie dotykaj mnie pan! — zawołała oburzona, sama nie zdolna dłużej panować nad sobą.

— Oho — zaczął powoli klown — jeżeli takim tonem mówić zaczynasz, to i ja zacznę z innej beczki. Kocham cię, kocham całym pożarem mojej krwi. Jeżeli mi ofiarujesz swoją miłość, będę twoim niewolnikiem i zrobię dla ciebie wszystko! Ale radzę ci, nie drażnij mnie, bo tego nie zniosę, i mogę się stać gwałtownym!

A przyjrzawszy jej się znowu i widząc, że drży cała, kończył:

— No, no, nie bój się mnie znowu tak bardzo, nie zawsze jestem taki grubiański — ale pójdź, nie wahaj się, nie opieraj — bądź moją!

I brutalnym ruchem chwycił ją, chcąc ją uściskać.

Erna odsunęła się z krzykiem i napół nieprzytomna oparła się o ścianę, wyciągnąwszy przed siebie ręce, jakby do obrony. Wtedy klown rzucił się przed nią na kolana, zmienił ton swego głosu i żebrał poprostu, skomlał o miłość.

— Patrz — syczał — mógłbym być jeszcze dobrym człowiekiem, gdybym miał kobietę, któraby mnie prowadziła. Kocham tylko ciebie jedną i muszę cię posiąść — musisz być moją! Jestem także człowiekiem, jak każdy inny, nie z drzewa wyciosanym. Cóż ja temu winien, że się natura ze mną tak po macoszemu obeszła? Bo gdybym był pięknym, przystojnym mężczyzną, tobyś mi się z pewnością tak długo nie opierała. Chcę użyć tych samych rozkoszy, których w bród mają ludzie przystojni i jeżeli mi dobrowolnie nie ofiarujesz swej miłości, to użyję gwałtu!

Podniósł się i skoczył jak rozjuszony zwierz na drżącą ze strachu kobietę.

— Precz, nędzniku! Nie dotykaj mnie! — krzykła Erna rozpaczliwie, a w oczach jej błyszczał ogień stanowczości.

Okrutny, szyderczy śmiech był odpowiedzią.

— Nie waż się zbliżyć ku mnie!

— Uspokój się, uspokój — szeptał wściekły i szedł wprost na nią.

Wtem — w dłoni Erny błysnął rewolwer, którego lufa skierowana była wprost na klowna, który, ujrzawszy broń, zaklął wściekły i cofnął się.

(Ciąg dalszy nastąpi).



U stóp Wezuwiusza: Bawiący w Neapolu uciekinierzy z wiosek zniszczonych przez wielki wybuch wulkanu.



Wielki pokutnik: Nawiedzający często Warszawę, tajemniczy pielgrzym, Józef Sztum.

Żołnierz z nad Jalu kucharzem w Krakowie.

Zadziwi zapewne niejednego z Czytelników ciekawy ów osobnik, którego fotografię obok zamieszczamy. Twarz jego pospolita, oczy błyszczą jakimś obłędnym blaskiem, z całej postaci bije dziwne cierpienie, które się maluje dosadnie w zalęknionym wzroku i zmarszczkach na twarzy. Niktby



Żołnierz z nad Jalu kucharzem w Krakowie: Uczestnik morderczej bitwy nad Jalu, gdzie dostał 12 ran, Dymitr Makarow, kucharz z zawodu, który z Rosyi uciekłszy, żyje w nędzy w Krakowie. (Fot. W. Lis).

nawet nie przypuszczał, że człowiek ten brał czynny udział w bitwie nad rzeką Jalu, że odniósł kilkanaście ran od „Japańców“.

Jest to Dymitr Makarow, który po krwawej bitwie nad Jalu śmiertelnie ranny 11 kulami i cięciem pałasza w głowę, pozostał na pobojowisku w czasie najgorętszej bitwy między trupami. Jak się bitwa skończyła, nie wie. Opowiada jeno, że było tam około „pół miliona Rosyan“ i ze 300.000 Japańców, a że połowa Rosyan zginęła. Naturalnie cyfry te są srodze przesadzone, ale ten człowiek, nie wiem, czy do tysiąca doliczyć potrafi. Wszystko więc, co przenosi tysiąc lub dwa tysiące, u niego daje już „milon“. Charakterystyczne są jego opowiadania o Kurokim. Upiera się stanowczo przy tem, że Kuroki został zabity, bo mu oficerzy pokazywali jego trupa z wypatroszonemi wnętrznościami. I nie podobna mu wytłómaczyć, że Kuroki żyje i dzisiaj przebywa w Japonii.

Po wylizaniu się z ran, nie bardzo zresztą śmiertelnych, bo kulki japońskie były bardzo małe, tak, że je nawet zwano „kulami humanitarnemi“, Makarow mając już dosyć wojny, czmychnął z Mandżuryi i po rozmaitych przygodach dostał się do Krakowa. Tutaj otrzymał naprzód posadę kucharza — z zawodu jest bowiem dobrym kucharzem — obecnie jest znowu bez miejsca. Trudno mu je dostać, boć dzisiaj jest już tylko kaleką. Od cięcia pałaszem w głowę stracił zdolność mówienia, tak, że potrafi jeno bełkotać niezrozumiałe prawie wyrazy, których się po większej części trzeba domyślać. Od ran, jakie poniósł od kul, stracił również moc w nogach, tak, że ledwie może chodzić. A przecie jest to człowiek w pełni męskich sił — liczy lat 42. Wojna zrobiła z niego niedołęgę i kalekę, tak, że mu dzisiaj nie pozostaje nic, jeno kij żebraczy wziąć do ręki i żebrać.

Wielki pokutnik.

Warszawę nawiedza co pewien czas niezwykły pokutnik, którego podobiznę w oryginalnym, przez niego samego wymyślonym, stroju zamieszczamy w tym numerze. Zwraca na się powszechną uwagę nie tylko dziwacznym strojem lecz również i oryginalnem zachowaniem się. Samochcąc skazuje się na wszelkie prywacye, niegodnym czując się praw życia między ludźmi i korzystania z ich warunków. Nie chodzi zatem nigdy chodnikami, ale środkiem gościńca, znosząc wszelkiego rodzaju



U stóp Wezuwiusza: Podczas katastrofy ucieczka mieszkańców z wiosek najbliżej wulkanu położonych.

szykany gawiedzi ulicznej, a tak samo nie czuje się godnym wejścia do kościoła, a tylko zawsze odprawia swe modły pod murami kościołów, zdala nawet od ich progów, klęcząc tu całemi godzinami. Pobożni rzucają mu chętnie jałmużny, o które nigdy nie prosi, a fakt ten naraża go na ciężkie naigrawania i prześladowania ze strony dziadów kościelnych. Zapytany, jakie nieszczęście zmusza go do tak srogiej pokuty, odpowiedział:

— Przeciwnie. To wielkie szczęście, którego zaznałem w życiu, naprowadziło mię na tę drogę, po której kroczę już lat trzydzieści!

W czasie tych lat odwiedził wielki pokutnik już kilkakrotnie ziemię świętą, Rzym i rozliczne miejsca odpustowe w kraju i za granicą. Nazywa się Józef Sztum. Brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej, po której ukończeniu rozpoczął pokutniczą swą pielgrzymkę. Ile lat liczy obecnie? Trudno odgadnąć, gdyż ciągły ruch na powietrzu, na słońcu od którego niczem nie chroni głowy, ni twarzy, nadały tej ostatniej koloryt czerstwy miedziany, oczom żywy odblask nieba błękitu, włosom żółty odcień promieni słońca, a umysłowi i duszy dziwną naiwność i spokój dnia pogodnego.

B-t.



Zapolska wraca na scenę: Znakomita powieściopisarka i autorka dramatyczna Gabryela Zapolska (Józef Maskoff).

Zapolska wraca na scenę.

Znakomita powieściopisarka nasza oraz autorka głośnych sztuk patryotycznych, p. Gabryela Zapolska-Janowska leży we Lwowie złożona od kilku tygodni ciężką chorobą płuc, stan zaś jeszcze pogarsza choroba żołądka, która wystąpiła niedawno. U łoża popularnej autorki czuwa lekarz dr. Owczarski, przybył też mąż jej, artysta-malarz p. St. Janowski. Dzięki jednak troskliwej opiece lekarskiej stan zdrowia pisarki w ostatnich dniach znacznie się polepszył, tak, iż w niedługim zapewne już czasie będzie mogła wyjechać do któregoś z miejsc klimatycznych, celem ostatecznego powrotu do zdrowia. Życzymy tego znakomitej autorce z całego serca imieniem licznych jej czytelników, tembardziej, ile że przyjście jej do sił umożliwi artystce powrót na scenę, gdyż, jak się dowiadujemy, dyrektor teatru lwowskiego p. Ludwik Heller zaangażował autorkę „Małki Szwarcenkopf“ i sztuki „Tamten“ w skład personalu dramatycznego. Wiadomo bowiem, że Zapolska jest nietylko świetną pisarką, ale i niepospolicie utalentowaną artystką dramatyczną. Karyerę sceniczną rozpoczęła w roku 1883 we Lwowie w teatrze hr. Skarbka za dyrekcyi śp. Jana Dobrzańskiego, jako „Nora“ Ibsena, poczem objęła dział kokietek i dam z półświatka. Ze sceny lwowskiej ustąpiła w r. 1885, poczem występowała w Krakowie, Poznaniu, Petersburgu, oraz w Paryżu w słynnym „Théatre libre“ Antoine'a. Na scenę lwowską wróciła p. Zapolska za dyrekcyi p. Hellera i występowała na niej do r. 1900, tj. aż do chwili, w której teatr przeszedł pod dyrekcyę Pawlikowskiego. Wiadomość o możliwości jej ponownych występów scenicznych ucieszy niewątpliwie publiczność polską, której z tej okazyi przypominamy dziś podobiznę, kryjącej się do niedawna z politycznych przyczyn pod tajemniczem imieniem Józefa Maskoffa — Gabryeli Zapolskiej.



Dom wpadł do morza: „Cliff House Hotel“, wielki zakład rozrywek w San Francisco, który w czasie trzęsienia ziemi runął ze skały w morze wraz z ludźmi.



Polacy na Dalekim Wschodzie: Kościół katolicki w Charbinie, zbudowany przez żołnierzy Polaków za pobytu w Mandżuryi armii rosyjskiej podczas ostatniej wojny z Japonią; (kapelanem jest ks. Przyłuski z Lublina).



Polacy na Dalekim Wschodzie: Obozujący pod Charbinem w lesie żołnierze armii rosyjskiej w większej części Polacy.

Polacy na Dalekim Wschodzie.

Niespożyta siła żywiołu kulturalnego polskiego przejawiła się nawet w czasie wojny rosyjsko-japońskiej na Dalekim Wschodzie, gdzie w licznych miejscowościach pozostawiła tak wymowne tego dowody w rozmaitych zakładach, przedsiębiorstwach, a nadewszystko w kościółkach i kościołach katolickich, wznoszonych ofiarnym groszem żołnierzy Polaków. Tak powstał właśnie pod Charbinem drewniany spory kościół, którego illustracyę tu zamieszczamy. Powstał ofiarnością tych, którzy nieraz od ust sobie odejmowali, by wznieść świątynię Pańską na własny i przyszłości użytek.

Myśl powstała w gronie dłużej tu obozującego korpusu wojskowego, liczącego bardzo wielu żołnierzy Polaków, może w jednej z takich chwil wytchnienia przy wspólnym posiłku pod osłoną lasu, jaką przedstawia załączona druga illustracya.

Wojna się skończyła; wrócili już jedni, wracają i inni do ojczystych pieleszy. Ale po wszystkich pozostanie na długą przyszłość ów kościół

jako rozsadnik kultury zachodniej, polskiej, hen na Dalekim Wschodzie pod godłem tego samego krzyża, który znamieniem Męki i Zmartwychwstania Pańskiego zdobi kościoły od źródeł do ujścia Wisły.

Cześć tym bezimiennym misyonarzom kultury polskiej. *B-t.*



Największy hotel na świecie w gruzach: Kryty dziedziniec olbrzymiego hotelu „Palace“ w San Francisco, który runął w czasie trzęsienia ziemi.

Dom wpadł do morza.

W czasie trzęsienia ziemi, jakie nawiedziło San Francisco, zdarzały się epizody, które dreszczem przejąć muszą każdego. Katastrofa zaszła tak niespodziewanie, że setki ludzi, którzy zginęli podczas walenia się domów i pożarów, na kilka godzin przedtem bawiło się jeszcze wspaniale, nie myśląc o śmierci, czyhającej w każdym prawie kącie.

W południowej części miasta, na skalistem urwisku, wrzynającem się głęboko w morze, wznosił się wspaniały gmach, znany wszystkim podróżnym jako jedna z atrakcyj San Francisco, tak zwany „Cliff house hotel“ uwidoczniony na załączonej rycinie. Byto to miejsce gdzie każdego wieczora gromadzili się żądni rozrywki ludzie i w powodzi elektrycznych świateł, wśród wrzawy i gwaru, dźwięku szkła i wesołych pieśni bawili się, wypoczywając po żmudnej, całodniowej pracy. I w dzień katastrofy hucznie i wesoło było w „Cliff house“. Naraz ziemia zaczęła drżeć, wzburzone fale prysnęły gniewnie w okna pałaców, co się nawet wśród największej burzy nie zdarzało, i olbrzymi gmach począł się kołysać, jakby podrzucany ręką niewidzialnego olbrzyma. Straszliwe falowanie ziemi wzmagało się z każdą sekundą, nareszcie jakby orkan jakiś zawiał przepotężny, „Cliff house“ zadygotał, zatrząsł się i runął w morze, najeżone podziemnymi skałami, zmienioną, niezwalczoną, niezbadaną siłą. Za chwilę na urwisku wznosiły się jeno tumany kurzu, morze zaś pokryło się brudną pianą, wśród której pojawiały się od czasu do czasu, do rozpoznania trudne, zbite masy ludzkie. Ze zgromadzonych tam kilkuset ludzi zaledwie kilkudziesięciu ocalało i wypłynęło na brzeg. Reszta zginęła.

Największy hotel na świecie w gruzach.

Dla przykładu, jakie gmachy powaliła straszna katastrofa trzęsienia ziemi w Kalifornii, dość wspomnieć o jednym z najwspanialszych na kuli ziemskiej hotelów, który runął w San Francisco. — Był to hotel „Palace“, gmach olbrzymi, wznoszący się na parceli, która kosztowała 17 i pół miliona koron. W hotelu tym, który miał 7 pięter, niebezpieczeństwo pożaru było zredukowane do najmniejszej miary, dzięki przyrządom do gaszenia ognia, umieszczonym na każdem piętrze. Mury zewnętrzne, ściany wewnętrzne, sufity i podłogi były ściągnięte żelaznemi klamrami i podparto sztabami równie z żelaza, co dawało budynkowi taką siłę, że podczas częstych trzęsień ziemi w San Francisco nie doznał najdrobniejszych nawet uszkodzeń.

Prócz licznych schodów, szerokich i wygodnych, znajdowało się w hotelu „Palace“ 5 parowych wind, które przez cały dzień były w ruchu, przenosząc gości na wyższe piętra. Z płaskiego dachu, na którym urządzono chodnik spacerowy, mieli goście piękny widok na miasto i dalszą okolicę. Obszerny dziedziniec, (dajemy Czytelnikom jego widok na illustracyi) mający 144 stopy długości a 80 szerokości, pokryty szklanym dachem, miał naokoło 7 galeryj na słupach, jakby loże w teatrze. Widok z najwyższej galeryi, ubranej roślinami zwrotnikowemi, na dziedziniec oświetlony elektrycznie należał do niezwykłych. Gdy w poniedziałek wieczorem na koncert cotygodniowy, albo z okazyi festynu dziedziniec zapełniła publiczność, ludzie, widziani z najwyższej galeryi, wyglądali, jak lalki. W hotelu tym obok licznych sal było 800 gościnnych pokojów, każdy z osobną łazienką. Liczba urzędników i służby hotelowej wynosiła 500 głów. I ten gmach runął.



Naoczny świadek trzęsienia ziemi: Wspaniały ratusz w San Francisco, który padł ofiarą katastrofy.



Artyści ocaleni z katastrofy: Sławna polska śpiewaczka Sembrich-Kochańska, która omal nie padła ofiarą trzęsienia ziemi w San Francisco.

Naoczny świadek trzęsienia ziemi.

Korespondent „New Jork Journalu“, naoczny świadek katastrofy w San Francisco, podaje szczegóły z pierwszych jej chwil: „Pośród gruzów siedzę tutaj obok telegrafisty i piszę niniejsze sprawozdanie. Miasto było wstrząsane to w tę, to w ową stronę, jak pióro przez wiatr. Zdawało się przez chwilę, jak gdyby ziemia zapaść się miała, potem budynki nagle podskakiwały w górę, jak balony, a następnie znowu ziemia opadała głęboko, wywołując we mnie uczucie, jakiego nigdy nie doznał żaden śmiertelnik. Jak topole wśród burzy chwiały się wszystkie budynki. W trzy minuty później San Francisco stało się wielkim stosem gruzów, a zaraz powstały pożary, ażeby zniszczyć to, co pozostało jeszcze po trzęsieniu ziemi. Miałem wrażenie, że równocześnie wybuchnęły niezliczone pożogi, pędzące przez południową część miasta, a następnie wzdłuż linii od strony morza, niszcząc w przeciągu jednej godziny domy wartości 20 milionów dolarów (100 milionów koron).

„Katastrofa spadła jak błyskawica z jasnego



Naoczny świadek trzęsienia ziemi: Ogólny widok stolicy Kalifornii, bogatego miasta San Francisco, które niemal doszczętnię zniszczyło trzęsienie ziemi i skutkiem niego wynikły olbrzymi pożar.

nieba. Wtorek był idealnym dniem wiosny kalifornijskiej, jasny, przejrzysty, z lekkim wiatrem i cudownym zachodem słońca. Noc, która nastąpiła po tym dniu, była cicha i łagodna. Sale teatralne wypełniła bogata publiczność złotego wschodu. Po przedstawieniu „Carmen“ w Operze, w hotelach i restauracyach bawiło się towarzystwo, rozradowane aż do zapomnienia. Nie upłynęło zbyt wiele



Odzyskane kościoły: Ks. dr. Jan Ślósarz, którego głównie zasługą była rewindykacya starego kościółka św. Wojciecha we Lwowie. (Fot. nadw. N. Lissa, Lwów).

czasu, gdy po tych scenach wesołości podniosły się okrzyki przerażenia. Stałem na głównym bulwarze, gdy ziemia chwiać się zaczęła. Myśleliśmy z początku, że to drobnostka. Ale oto zaczęły spadać szczyty domów, a z łoskotem rozpryskujących się kawałów murów mięszały się krzyki rannych. A potem przychodziło owo straszliwe opadanie i wznoszenie się i znowu opadanie ziemi, wobec którego byłem bezradnym atomem pośród wiru, zapowiadającego koniec wszelkich rzeczy. Pisząc to, muszę otrząsać się jakby po głębokiem omdleniu. I gdy siedzę tutaj, chwieje się skutkiem ponownych wstrząśnień ziemi gmach urzędu pocztowego, niby maszt okrętowy podczas burzy. Kobiety wśród histerycznych ataków i mężczyźni daremnie usiłują wysyłać depesze i wszyscy oczekujemy śmierci, bezradni i zrezygnowani. Na ulicach widać grupy ludzi, modlących się na klęczkach; kobiety, oszalałe z rozpaczy, biegają po ulicach, szukając krewnych; porwane przewody elektryczne, przez które jeszcze prąd przebiega, leżą na bruku i zabijają przechodniów“.

Artyści ocaleni z katastrofy.

Dzienniki zapisują teraz przeróżne epizody z katastrofy w San Francisco, składające się na barwną mozajkę. Spiewak Caruso, członek trupy dyrektora Conrieda, zniósł swój ogromny kufer z piątego piętra domu na ulicę, zasiadł na nim i z zimną krwią palił papierosy. Trupa ta, do której należy także Sembrich-Kochańska, ocalała, jak wiadomo i wyjechała do Nowego Jorku. Po drodze opowiadał Caruso pewnemu korespondentowi, w jaki sposób zaskoczyła go katastrofa. „Pierwsze wstrząśnienie — mówił Caruso — omal nie wyrzuciło mnie z łóżka. Otworzyłem szybko okno i w nadzwyczajnem rozdrażnieniu zacząłem śpiewać tak głośno i tak wysoko, jak mi się to nigdy na scenie nie zdarzyło. Poco śpiewałem, sam nie wiem, ale przyniosło mi to ulgę. W szlafroku zeszedłem na dziedziniec hotelu, ale powróciłem do pokoju i wyniosłem trzy kufry, resztę musiałem niestety zostawić. Chciałem dostać się do parku, ale nie wpuścili mnie tam żołnierze, mówiąc, że park jest przepełniony. Przypadkowo miałem przy sobie fotografię Roosevelta z jego własnoręcznym podpisem. Pokazałem ją oficerowi, który mnie wpuścił do parku. Rozciągnąłem się na trawniku i spałem spokojnie“.

Marcelina Sembrich-Kochańska — przebywająca obecnie w Salt-Lake City (siedziba mormonów) opowiada:

Znajdowałam się w hotelu „Sturanci“, gdy nagle obudził mnie łoskot — spadającego tynku. Zerwałam się i przewracając w pośpiechu stoły i krzesła, wybiegłam boso w koszuli nocnej na kurytarz. Nieznajomy jakiś mężczyzna pożyczył mi palta, tak pospieszyłam na ulicę, by zasięgnąć wiadomości. Stamtąd powróciłam do pokoju — i coprędzej przyodziawszy się, pobiegłam na Union Square — gdzie zastałam Plançona nawpół zaledwie odzianego.

Inni koledzy schronili się przed ogniem do domu doktora Tevisa, który nas wszystkich chciał wziąć do siebie, lecz odmówiliśmy w obawie nie bezpieczeństwa.

Pozostaliśmy więc na schodach zewnętrznych, dopóki nas ogień stamtąd nie wypłoszył.

Noc przepędziliśmy — czuwając — nad brzegiem zbiorników wód.

Ocaliłam literalnie tylko to, co miałam na sobie — straciłam zaś w katastrofie 40.000 dolarów.

Odzyskane kościoły.

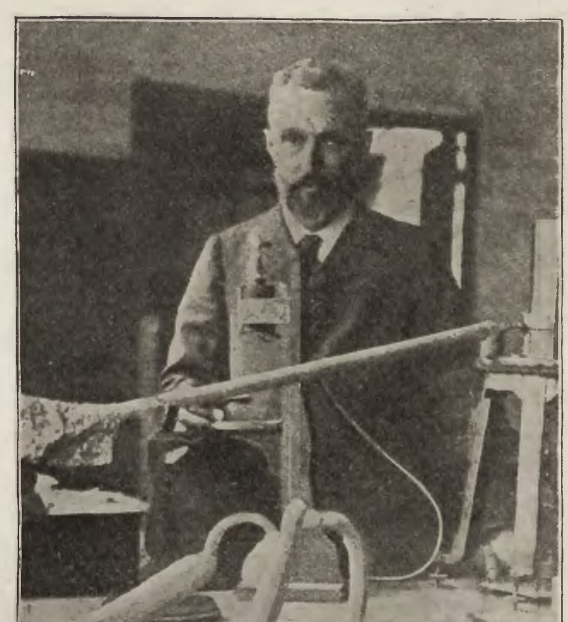
W ubiegłą niedzielę dokonane zostało we Lwowie uroczyste poświęcenie dwu świątyń katolickich, mianowicie kościółka św. Wojciecha, położonego daleko za miastem, obok Wysokiego Zamku, i cerkwi Przemienienia Pańskiego przy ul. Krakowskiej.

Kościółek św. Wojciecha należy do najstarszych we Lwowie. Wybudowany w XVI stuleciu przez mieszczanina lwowskiego Piotra Moskalika na miejscu, w którem złożone były zwłoki jego



Nowy organista u Panny Maryi w Krakowie: Stanisław Kostka Niepielski, popularny nauczyciel śpiewu i kierownik chórów amatorskich.

dzieci oraz innych, zmarłych podczas epidemii ospy, był aż do czasów reform cesarza Józefa I pod opieką OO. Misyonarzy; z końcem XVIII w. obrócony został przez rząd austryacki na magazyn wojskowy i aż do ostatnich lat służył temu celowi. Dopiero w r. 1897 podniósł ks. dr Jan Ślósarz, (oto jego portret) kanonik kapituły lwowskiej i profesor teologii na uniwersytecie we Lwowie, myśl rewindykowania tego kościółka od rządu i przemienienia go napowrót na dom Boży. Myśl ta została rychło zrealizowaną, dzięki temu,



Tragiczna śmierć wielkiego odkrywcy: Śp. Piotr Curie, genialny fizyk, który wraz z żoną swą Polką Maryą Skłodowską odkrył rozgłośne dziś radium.

iż cesarz zgodził się na odstąpienie kościółka i sąsiedniego budynku, a ks. arcybiskup Bilczewski ofiarował na cel wybudowania dla wojskowości nowego magazynu, bo tylko pod tym warunkiem administracya wojskowości zrzekła się prawa użytkowania kościółka, hojny dar 20.000 kor. Przeprowadzono tedy rekonstrukcyę kościółka i przywrócono mu dawny wygląd. W niedzielę zaś odbyła się uroczysta benedykcya tej świątyni przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego, a przy udziale tysięcy wiernych.

Równocześnie odbyło się z wielką okazałością poświęcenie nowej cerkwi, wybudowanej znacznym sumptem przy ul. Krakowskiej, w miejscu gdzie ongiś znajdowała się biblioteka uniwersytecka,



Fot. dla „Nowości Illustr.“ M. Münz.

Odzyskane kościoły: Przemowa z ambony pod gołem niebem ks. arcybiskupa Bilczewskiego na uroczystości poświęcenia rewindykowanego od rządu starego kościółka św. Wojciecha koło Wysokiego Zamku we Lwowie.

spalona podczas bombardacyi Lwowa 1848 r. Nowa świątynia jest nadzwyczaj okazałą zarówno zewnątrz jak wewnątrz. Zwłaszcza wspaniały ikonostaz i „carskie wrota“, wznoszące się przed wielkim ołtarzem, pełne złoceń i ozdobione malowidłami Antoniego Popiela, uderzają pięknością i artystycznem wykonaniem. (Rycina na str. 3).



Reforma ubezpieczeń robotników: Dr. Wacław Domaszewski, dyrektor Banku Kraj. i prezes Tow. ubezp. robotn. we Lwowie. (Artykuł na str. 20).

Poświęcenia nowej świątyni dokonał metropolita ks. Szeptycki, przy współudziale ks. Czechowicza z Przemyśla i ks. Chomyszyna ze Stanisławowa, a w obecności księży arcybiskupów Bilczewskiego i Teodorowicza.

Nowy organista u Panny Maryi w Krakowie.

Dyrygentem chóru i organistą przy kościele archipresbiteryalnym N. P. Maryi w Krakowie mianowany został p. Stanisław Kostka Niepielski. Osobistość to, ciesząca się w całym Krakowie najżywszą sympatyą i szacunkiem dzięki prawości swego charakteru i niezmąconej pogody życia, jaką wokół siebie rozsiewa.

P. Niepielski, którego portret obok zamieszczamy, jest z urodzenia Królewiakiem. Przyszedł na świat w roku 1865, jest więc dzisiaj mężczyzną w pełni sił. Przybywszy do Krakowa, zapisał się do konserwatoryum, które ukończył pod kierunkiem dyrektora Władysława Żeleńskiego. Następnie pełnił kolejno obowiązki organisty przy kościołach: św. Mikołaja, św. Anny i u OO. Franciszkanów. Równocześnie był przez szereg lat nauczycielem śpiewu w gimnazyum Sobieskiego, a obecnie w gimnazyum IV. Jest również kierownikiem chóru amatorskiego rzemieślników i rękodzielników, który to chór dzięki jego energii i pracy bardzo ładnie się rozwinął. Osobistymi zaletami zdołał sobie pozyskać ogólne uznanie wśród publiczności krakowskiej, która z zadowoleniem szczerem przyjęła wiadomość o mianowaniu go organistą w najpiękniejszej na ziemi polskiej świątyni.

Tragiczna śmierć wielkiego odkrywcy.

Przed kilku dniami przyniosły telegramy z Paryża wiadomość, która zelektryzowała cały świat. Oto odkrywca radium, wielki uczony, prof. Piotr Curie, dostał się przypadkiem, przechodząc przez ulicę. pod koła ciężkiego wozu i zginął na miejscu

Imię profesora Curie, którego portret dziś zamieszczamy, zajaśniało na horyzoncie nauki przed kilku dopiero laty, a związane było ściśle z imieniem Polki, p. Maryi Skłodowskiej, naprzód uczennicy, a później żony prof. Curie. Ona to, zdaje się, nakłoniła męża, aby całą swą wiedzę, bystrość spostrzegawczą i zdobyte doświadczenie zwrócił do badań pierwiastków promieniotwórczych, którymi się specyalnie sama zajmowała. W szczęśliwej, wspólnej pracy naukowej ze żoną doszedł Curie do nieoczekiwanego prawie rezultatu, do odkrycia najsilniej promieniującego pierwiastku radu. Główna zasługa zmarłego uczonego w tem odkryciu polegała na obmyśleniu genialnego sposobu **mierzenia natężenia promieniotwórczości. Metoda** ta była nicią przewodnią, dzięki której p. Skłodowska zdołała z rudy uranowej wydobyć zawartą w niej drobną ilość radu. Piotr Curie był pierwszym, który zbadał właściwości radu i stwierdził działanie jego na skórę ludzką, działanie bardzo pożyteczne, bo leczące gruźlicę skóry i raka.

Odkrycie radu przyniosło profesorowi Curie i jego żonie nieśmiertelną sławę; w rok po odkryciu idealne to małżeństwo otrzymało za nie nagrodę Nobla, która ułatwiła uczonej parze dalszą pracę nad wynalezionem przez nią ciałem.

Ze szczególnem upodobaniem oddawał się Curie badaniom z zakresu magnetyzmu i elektryczności. Jego doświadczenia, pomiary i oznaczenia wzbudzają podziw tak świałością, jak wielką pomysłowością, objawiającą się przedewszystkiem w licznych, obmyślanych przezeń, przyrządach precyzyjnych. **Skonstruowane przez Curie'go nadzwyczaj** czułe wagi, zastosowane wyłącznie do bardzo małych ciał, weszły w powszechne użycie i zapewniły trwałe imię swemu wynalazcy.

Tragiczna śmierć przecięła pasmo prac znakomitego uczonego, a osierociła drogą nam rodaczkę, która sporą garścią liści wawrzynu otoczyła imię polskie i polską naukę.



Reforma ubezpieczeń robotników: Dr. Aleksander Małaczyński, zast. dyrektora Banku Kraj. i wiceprezes Tow. ubezp. robot. we Lwowie. (Artykuł na str. 20).



Sporty wiosenne: Grupa uczestników kursu dla kierowników gier i zabaw ruchowych we Lwowie. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ Marek Münz).

Sporty wiosenne.

Ruchliwe i bardzo pożyteczną rozwijające działalność lwowskie „Tow. zabaw ruchowych“ urządziło w ubiegłym tygodniu kurs dla kierowników gier i zabaw ruchowych. Kurs ten ma na celu przygotowanie pewnej ilości kierowników z pośród osób starszych i przewodników z pośród młodzieży szkolnej, niezbędnych do prowadzenia gier i zabaw wychowanków I szkoły realnej i III oraz V



Redaktorzy warszawscy posłami: Literat i krytyk Maryan Massonius, wybrany posłem do Dumy z pow. mińskiego.

gimnazyum, a także młodzieży żeńskiej i rzemieślniczej. Na wezwanie Towarzystwa zgłosił się poważny zastęp uczestników, osób starszych, przeważnie ze świata nauczycielskiego oraz młodzieży, wskazanych przez dyrekcye wymienionych wyżej zakładów. Na kursie przerabiano następujące gry i zabawy ruchowe: piłka nożna, palant, tennis, pięstówka, piłka uszata itp. lekką atletykę. Dzięki dość pomyślnej pogodzie, kurs powiódł się bardzo dobrze, tak iż rozpoczynające się teraz na boisku zabawy i gry toczyć się będą pod odpowiednim, powołanym do tego nadzorem.

W numerze dzisiejszym podajemy zdjęcie fotogr. grupy uczestników kursu.

Wybory w Królestwie Polskiem.

Nie zapomniane pozostaną dla Królestwa Polskiego te pierwsze po tylu lat dziesiątkach wybory konstytucyjne. Po miasteczkach i miastach z Warszawą na czele zawrzało nagle jak w ulach. Wszędy rojna i gwarna wyległa ludność na ulice, nie pomna porozstawianych tu i owdzie straży wojskowych i policyjnych. Zawrzała agitacya stronnictw politycznych, nawzajem się zwalczających. Rozrzucano setki i tysiące ulotnych pism, list wyborczych, odezw i proklamacyj. Uzbrojono posłańców w plakaty sztandarowe lub ornatowe, przewieszone na pasach przez oba ramiona. Wydzierano sobie i nawzajem niszczono listy wyborcze, które jak białe płaty śniegu tumanami wiatr miotał, ścieląc je wreszcie białym pokładem po ulicach i placach przed gmachami okręgów wyborczych.

Oczywiście obraz ten najjaśniejszy, najbardziej wyrazisty dawały wybory w Warszawie, podzielonej na 12 okręgów wyborczych, z których każdy podług liter alfabetu miał jeszcze kilka osobnych ognisk wyborczych.

Około godziny 2-ej popołudniu stał się już wiadomym wynik ostateczny wyborów uwieńczony zwycięstwem połączonych usiłowań wszystkich partyj narodowych polskich nad syonistyczno nacyonalistycznemi. Żydzi zyskali tylko liczbę 20 wyborców, Polacy olbrzymią większość 60-u, a ta prawdopodobnie wybierze posłami kandydatów, których podobizny podaliśmy już dawniej Czytelnikom naszym, tj. Władysława hr. Tyszkiewicza i adw. Franciszka Nowodworskiego. *Bejot.*



Wybory w Królestwie Polskiem: Agitacya wyborcza w dniu prawyborów w Warszawie, na placu przed kościołem św. Aleksandra. (Fot. dla „Nowości Illustr.“ Fred.)

Redaktorowie warszawscy — posłami.

Ci sami jeszcze lub koledzy tych, których nazwisk nie zdołaliśmy jeszcze wyczerpać w rubryce „redaktorów pod sądem“, zjawiają się dziś w rzędzie wybrańców i przedstawicieli narodu, obdarzonych zaufaniem wyborców na posłów do Dumy państwowej w Petersburgu.

Zaszczyt ten spotkał dwu redaktorów warszawskich, wprawdzie nie w Warszawie — za to na Litwie, z powiatu wileńskiego i mińskiego.

Są to dobrze znani w Warszawie w sferach publicystycznych Maryan Massonius i Czesław Jankowski.

Pierwszy, którego portret tu podajemy, wybrany posłem w Mińsku gubernialnym, gdzie w okolicy posiada małą własność ziemską, mieszka stale w Warszawie i tu do jej ostatecznego zamknięcia przed trzema tygodniami był redaktorem „Gazety Warszawskiej“ przemianowanej po kilkakrotnych konfiskatach i zawieszeniach wydawnictwa na „Reformę“, organ konserwatywnej „Spójni“.

Urodzony w r. 1855 w Mińsku, ukończył tam dzisiejszy poseł szkoły średnie, zaś uniwersytet w Petersburgu i Lipsku, gdzie otrzymał stopień doktora filozofii. Wróciwszy z zagranicy do Warszawy, pisywał tu w kwestyach filozoficznych i estetycznych w „Głosie“, „Tygodniku Illustr.“, „Kuryerze Warszawskim“, „Wiśle“ itp. Wydawał osobno prace, jak „Nauka i krytyka estetyczna“, „Psychologia i duszoznawstwo“, „Szkice estetyczne“ itp. Od r. 1901 redagował miesięcznik pt. „Książka“, zaś od września 1905 „Gazetę Warszawską“, na którem to stanowisku nie zdołał mimo najlepszych chęci uzyskać uznania dla siebie, miru dla reprezentowanego przez dziennik stronnictwa, mimo znacznych nawet funduszów udzielonych przez głównego wydawcę Szlenkiera, jakoteż współwydawców ks. Lubomirskiego i ks. Czetwertyńskiego. Dobrej woli, lecz bardziej literat-filozof, niż polityk, nie mógł podołać zadaniu; może mu się to uda lepiej w Dumie. *Bejot.*



Wybory w Królestwie Polskiem: Komisya wyborcza i kontrolująca w okręgu I. w gmachu uniwersytetu w Warszawie. Przy stołach pp. prezes St. Kijeński, Tad. Jentys, Franciszek Poradowski, Edmund Makowski, Stan. Rzepecki i St. Pietraszkiewicz. (Fot. dla „Nowości Ill.“ L. Kowalski, w Warszawie).



Fot. L. Kowalski w Warszawie.
Zacny obywatel: Karol Deike, dyrektor Banku handlowego w Warszawie, zmarły w tych dniach w Meranie.

Swięto robotnicze.

Dorocznym zwyczajem robotnicy krakowscy obchodzili w ubiegły wtorek, jako w dzień pierwszego maja, międzynarodowe święto proletaryatu. To też po większej części zamilkły na cały dzień warstaty pracy, a rzesze robotnicze w odświętnej odzieży zabawiały się spokojnie przeważnie w parku dra Jordana. Przedpołudniem odbyła się według programu, podobnego do lat poprzednich, demonstracya na rzecz znanych żądań partyi socyalistycznej, a w szczególności za reformą wyborczą, jako postulatem najaktualniejszym w tym roku. Wielkie zgromadzenie publiczne w budynku cyrkowym wysłuchało referatów odpowiednich, poczem pochód manifestacyjny z godłami czerwonemi oraz z takiemiż kokardkami i gwoździkami udał się z pieśnią „Czerwonego sztandaru“ na Rynek, gdzie pod pomnikiem Mickiewicza przemawiał do tłumu poseł Daszyński. Właśnie tę chwilę przedstawia nasza fotografia, na której można odczytać wyraźnie napisy na godłach, niesionych w pochodzie.

Zacny obywatel.

Społeczeństwo polskie poniosło dużą stratę przez zgon Karola Deikego, zacnego obywatela, dyrektora Banku handlowego w Warszawie.

Tu urodzony w r. 1845 z niezamożnej rodziny rzemieślniczej, ukończył szkoły średnie w gimnazyum realnem, zaś w 1862 r. w szkole Głównej, gdzie skończywszy wydział matematyczny w r. 1866 objął zaraz miejsce młodszego adjunkta obserwatoryum astronomicznego.

Z tego pola naukowego przerzucił się Deike na finansowe. Pracował naprzód w biurze bankowem Wertheima, poczem jako tegoż wychowaniec otrzymał posadę w tworzącym się wówczas Banku handlowym w Warszawie jako pomocnik buchhaltera głównego. Dzięki zdolności i pracowitości posuwał się szybko ze stopnia na stopień z buchhaltera głównego na wice dyrektora, wreszcie na dyrektora.



Dezerterka z teatru „Nowości“: Marya Miller-Wojewódzka, opuszczająca scenę warszawską, artystka operetkowa. (Do artykułu na stronie 20).

Na stanowiskach tych cieszył się powszechnem zaufaniem, które powoływało go do wszystkich komisyj rewizyjnych w instytucyach publicznych.

Rzetelny i pracowity a przytem skromny i nie goniący za rozgłosem, przedstawiał typ dziś rzadki na tak odpowiedzialnem stanowisku.

Szkoda go — wielka! *B-t.*



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto robotnicze: Demonstracya na Rynku krakowskim w dniu 1-go maja; z pod pomnika Mickiewicza przemawia poseł Daszyński.



Fot. dla „Nowości“ W. Lis.
Książę Niezłomny: I. Solska jako Feniksana w „Księciu Niezłomnym“ na scenie krakowskiej.

Książę Niezłomny.

Poniekąd sensacyjnym wypadkiem bieżącego sezonu teatru krakowskiego jest „Książę Niezłomny“, którego pierwsze przedstawienie odbyło się w sobotę po cenach niesłychanie podniesionych. Obca to wprawdzie tragedya, a jednak sercom polskim tak droga... Zapominamy, że ją stworzył hiszpański poeta Calderon, a kochamy tak polski jej przekład Juliusza Słowackiego, jak on kochał ten przedziwny dramat ideowy i jego niezłomnego bohatera, infanta portugalskiego, który za ojczyznę żywot oddawszy, dźwigał Maurów kajdany.

Najtrafniej scharakteryzował to Adam Asnyk, mówiąc o „Księciu Niezłomnym“, że inne narody mogą się nim zachwycać tylko jako najpoczytniejszym kwiatem poezyi, gdy my tymczasem zarobiliśmy sobie na zrozumienie jego całą przeszłością naszą, ofiarami i cierpieniem, nawet nędzą i poniżeniem naszem. Arcydzieło hiszpańskiej literatury, powiada również Asnyk, zostało przyswojone naszemu językowi w tak mistrzowski sposób, że polskie społeczeństwo miało prawo uważać je w połowie za swoją narodową własność i przyklasnąć podwójnie utworowi, w którym genialność tłomacza szła w zawody z genialnością twórcy i w którym wzniosły ideał dawnej katolicko-rycerskiej Hiszpanii tak się ściśle kojarzy z ideałem dawnej katolicko rycerskiej Polski...

Słowacki przed sześćdziesięciu laty pracując nad przekładem tego dramatu, który najlepiej odpowiadał ówczesnemu nastrojowi poety, sam zapewniał, że się identyfikował, pisząc, z bohaterem Calderona i ukochał Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwyciężał, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. Chciałbym — mówił — aby było choć kilka duchów w Polsce, aby wierzyły, że zawsze i wszędzie wierny jestem, że tak, jak mój Książę Niezłomny, srogo i twardo stoję przy dawno strzeżonej chorągwi...

To też ten zapał znać w przekładzie polskim, a krytyka przyznała słusznie, że bogata, płomienna, a rozwichrzona wyobraźnia Słowackiego trzymana na uwięzi cudzej myśli, zlała na przekład wszystkie swoje płomienne blaski i kolory, wichrowatością zaś swoją w niczem nie naruszyła pięknej budowy hiszpańskiego mistrza.

Raz tylko przed 30 laty próbowano, może niezręcznie, wystawić trudny ten dramat w Krakowie. Tym razem jednak dopiero powiodło się to w zupełności, głównie dzięki niesłychanie okazałej a niezbędnej właśnie wystawie, według szkiców artysty-malarza Frycza. Takich pono kostiumów bogatych, z prawdziwych jedwabiów i brokatów, malowniczych a stylowych, nie było jeszcze na naszej scenie. Sądzimy tedy, że Czytelnicy chętnie zobaczą piękne te stroje na naszych illustracyach. Wybraliśmy najcharakterystyczniejsze: uroczej Feniksany (pani Solska) i groźnego króla Tangeru (p. Jednowski). Obie te role, pod każdym względem świetnie grane, wybijały się na plan pierwszy na równi z kreacyą księcia Fernanda (p. Tarasiewicz) i Muleja (p. Andruszewski).



Fot. dla „Nowości“ W. Lis.
Książę Niezłomny: M. Jednowski, jako król Tangeru w „Księciu Niezłomnym“ na scenie krakowskiej.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.
Napisał Bronisław Mazowiecki.

5 (Ciąg dalszy).

Takie same obrazki mniejszych rozmiarów i nie na blasze, lecz na płótnie lub na drzewie, znajdowały się już teraz po jednym nad drzwiami do każdego pokoju w całym domu, a nawet i w bocznych zabudowaniach dworskich.

Radykalniejsze zmiany zaszły w ustroju gospodarstwa, którem w zupełności zajmowała się dotychczas tylko stara Teklunia, dziś pod każdym względem odsunięta od wszelkiego udziału w rządach domowych.

Nikt z domowników nie był z tego zadowolony, choćby z tej przyczyny, iż wszyscy bez wyjątku kochali Teklunię i przyzwyczaili się do niej od dawna. Nie mogli zaś jeszcze oswoić się z nową a dziwną gospodynią, której zresztą zmiany powszechne w konserwatywnym dworze nie podobały się nikomu, zwłaszcza, że wprowadzony przez nią system oszczędnościowy, od razu jako skąpstwo przez służbę okrzyczany — wywoływał coraz głośniejsze sarkanie.

Na owe czasy, w których rozgrywa się niniejsza część naszego opowiadania, dobra pana Edwarda K... należały do najpiękniejszych majątków ziemian polskich w Prusach Królewskich.

To też w gospodarstwie jego, jakkolwiek nie było zbytku i rozrzutności, przelewało się — jak to mówią — i dobrobyt widoczny był we wszystkiem i na każdym kroku.

Tak rzeczy zastała po swoim przyjeździe do S... siostra Felicya.

Wprawdzie sąsiedzi mawiali, iż jeżeli pan Edward nadal będzie na wsze strony rozdawał hojnie wszystko biednym, a zwłaszcza nie tyle ubogim, ile zręcznym wydrwigroszom, którym w imię pobożności, zazwyczaj tylko fałszywej, łatwo bywa dobierać się przez poczciwe serce czułego na nędzę ludzką dziedzica do jego kieszeni — to wreszcie bogaty ziemianin pójdzie z torbami...

Kiedy się jednak w jego interesach majątkowych rozejrzała płocka tercyarka zaraz w pierwszych dniach swego pobytu we dworze, nabrała przekonania, że położenie wcale nie jest tak tragiczne, jak się sąsiadom wydaje i że majątek pana K... jest jeszcze ogromny.

— Żałować nie należy na cele szlachetne — powtarzała, zachęcając pana Edwarda do tego właśnie, przed czem starali się go przestrzegać życzliwi z pomiędzy sąsiadów.

— Owszem, owszem — mawiała — podoba się Bogu ocieranie łez nędzy, nigdy na to skąpić nie trzeba, zwłaszcza, skoro za łaską Boską ma się dość środków na dobroczynność...

Kiedy więc w swoje ręce ujęła siostra rządy całego gospodarstwa, zaczęła zwracać uwagę, iż zbyt wiele wydaje się w domu na rzeczy, jak mówiła, ziemskie, a zaniedbuje się ważniejsze, na których właśnie zależeć przedewszystkiem powinno duszom zbawienia pragnącym.

Stąd poszło, że zatrzymawszy przy sobie klucze, skąpiła na wszystko, twierdząc, iż należy oszczędzać na cele religijne. Odtąd też trudno było we dworze o gotówkę i nawet sam pan Edward najczęściej pieniędzy nie miał przy sobie i tylko do dworu po wsparcie odsyłać musiał często spotykanych żebraków, którzy zdawna już do tego przyzwyczajeni, schodzili się z okolic do S...

Ale i tu nie wiele dostawało im się teraz. Dawniej każdy nocleg znalazł w starej szopie podle dworu: dziś z dworskiego obejścia pędzono precz przed wieczorem byle włóczęgę bezdomnego, ponieważ siostra obawiała się, by jaki przybłęda ognia nocą nie zaprószył, albo gorzej — nie zakradł się do czego po ciemku, lub nawet — wszak dzieją się takie rzeczy — nie zamordował kogo dla rabunku.

Za dnia zaś u drzwi izby czeladnej nigdy teraz z zasady nie opatrzono dziada gotowym groszem...

— Przepiłbyś zaraz w karczmie — odzywała się w takim razie sama siostra, słysząc prośbę o jałmużnę.

Natomiast chleb był wyznaczony codzień w stałej ilości dla żebraków, którzy bardzo się tej odmianie dziwili, pamiętając, że na dobry obiad do tego dworu warto było przedtem zawsze zachodzić, choćby i kilka mil zdala o głodzie.

Ale co prawda, to i w kuchni nic teraz dla dziadów nie zbywało nigdy. Nie jak dawniej, gotować musiano obecnie tyle zaledwie, ile niezbędnie potrzeba było na obdzielenie domowników. Ile razy zaś kto ze służby poważył się żalić, uważając, że w południe lub na wieczerzę nie dość się pokrzepił wydzieloną mu strawą i zapewniał, że zjadłby chętnie drugi raz tyle, gromiła go siostra, która wszędzie zajrzała o każdej porze:

— Jadłbyś tylko... a nie wiesz to, jak ciężkim grzechem jest obżarstwo.

To znów innym razem wołała ze zgrozą:

— Nie godzi się tak objadać, bo człowiekowi zbyt sytemu spać się ino chce, albo go złe myśli trapią i zapomina, że wszystek czas od pracy wolny winien Bogu poświęcić na modlitwie...

Wobec tego wszystkiego coraz bardziej żal było dworskiej czeladzi rządów dawnej klucznicy Tekluni, która nadal nie opuszczała swego pokoju z kwiatami i kanarkami. (C. d. n.)

Reforma ubezpieczenia robotników.

Jedną z najbardziej piekących kwestyj społecznych jest niewątpliwie sprawa ubezpieczenia robotników od wypadków, oraz na starość i niezdolność do pracy. Stała się ona bardziej aktualną obecnie, gdy rząd wniósł projekt reformy odnośnych ustaw i gdy ów projekt jest przedmiotem obrad w radzie robotniczej, oraz w korporacyach interesowanych.

W ubiegłym tygodniu ukończył właśnie we Wiedniu obrady w tej sprawie zjazd delegatów zakładów ubezpieczenia od wypadków. Imieniem lwowskiego zakładu występował zastępca przewodniczącego p. A. Małaczyński. Fakt ten zwrócił uwagę społeczeństwa na istniejący zakład w Galicyi od 1888 r. jedyny „Zakład ubezpieczenia robotników od wypadków dla Galicyi i Bukowiny“. Aby dać wyobrażenie o znaczeniu tej instytucyi, dość przytoczyć z ostatniego sprawozdania, iż w jednym r. 1904 wypłacił zakład 861.783 koron gotówką do rąk okaleczonych robotników, względnie do rąk rodzin po zabitych.

Na czele zakładu stoi zarząd z 18 członków złożony, a pozostający obecnie pod przewodnictwem dra Wacława Domaszewskiego.

Dr. Domaszewski, dyrektor Banku krajowego we Lwowie, wstąpił do służby w tej instytucyi w r. 1887 po ukończeniu studyów uniwersyteckich i po praktyce w Banku austro-węgierskim, oraz w Zakładzie kredytowym ziemskim w Wiedniu. W Banku krajowym, jako kierownik oddziału hipotecznego, położył w tym kierunku ogromne zasługi. Od r. 1888 jest członkiem zarządu ubezpieczeń i jego prezesem, stale jednogłośnie w uznaniu zasług wybieranym.

Prawą ręką dra Domaszewskiego, zarówno w oddziele hipotecznym Banku krajowym, jak w zarządzie zakładu ubezpieczeń, jest zastępca dyrektora dr. Aleksander Małaczyński. W Banku krajowym pracuje od r. 1884, wstąpiwszy tam jako kandydat adwokatury. W zakładzie ubezpieczenia robotników jest członkiem zarządu od początku istnienia tej instytucyi. Imieniem zakładu brał udział w ankiecie ministeryalnej w r. 1895. Referatem swym w sprawie regulaminu zakładu, a następnie pragmatyką służbową zjednał sobie uznanie zarządu i urzędników. Autor wielu artykułów dziennikarskich o ustawodawstwie ubezpieczenia robotników, wydał nadto „Ustawę o ubezpieczeniu robotników, wraz z rozporządzeniami i objaśnieniami“, a w „Roczniku asekuracyjno-ekonomicznym“ ogłosił rozprawę: „Ekonomiczna doniosłość ubezpieczenia od wypadków“ i „System kapitałowego pokrycia, czy system repartycyi“.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portrety pp. dra Domaszewskiego i dra Małaczyńskiego.

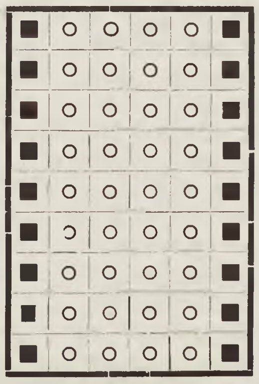
Dezerterka z teatru „Nowości“.

Dezercya z teatrów warszawskich rozpoczyna się po „Rozmaitościach“ także i w teatrze „Nowości“. Oto jedna z sił pierwszorzędnych, wybitnych, powszechnie cenionych i ulubionych: pani Marya Miller-Wojewódzka, która postanowiła opuścić scenę warszawską tak bardzo przedwcześnie. Następstwo to, jedno z wielu, niewłaściwych rządów obecnej dyrekcyi i tych, za daleko nieraz idących wymagań pozasłużbowych jej przedstawicieli i przyjaciół z czasu owych „majówek“ urządzanych dla grona wybranych, do których p. Wojewódzka nie czuła się zobowiązaną mimo „wezwania“, „wpływowych“ i „decydujących“ o losach teatru osobistości. Skutkiem podobnej odmowy zaczęły się potem owe nieustanne kłucia szpilkami, o jakie w teatrach łatwiej niż gdzieindziej, co prowadzi najlepszych nawet artystów do zniechęcenia i w końcu do usunięcia się ze szkodą sztuki i sceny. Pani Miller-Wojewódzka pozostanie, nie zapomnianą z tylu swych niezrównanych kreacyj, które rozpoczęła niebywałem powodzeniem jako Rose Bebe, w operetce "Za oceanem“, a później po pewnej przerwie występem pierwszym w operetce „Wenus w Warszawie“. Niezwykły jej wdzięk i powab, subtelność gry mimicznej przy pomocy wymownych pięknych oczu, dźwięczny i dobrze wyszkolony głos sopranowy przy doskonałem opracowaniu roli aż do najmniejszych szczegółów zapewniały zawsze powodzenie nie tylko samej artystce, ale i każdej sztuce, każdemu przedstawieniu, w którem brała udział. Szkoda jej wielka dla sceny. *B-t.*

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Ułożył T. P. z Miżyńca.

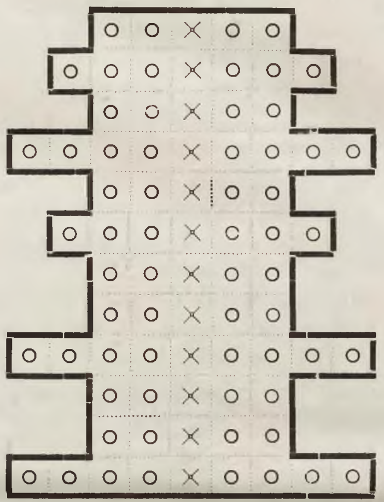


W miejsce kółek i kropek wstawić litery w ten sposób, aby gwiazdki w pierwszym rzędzie, czytane z góry na dół utworzyły tytuł utworu, a końcowe, również czytane w tym samym kierunku, utworzyły nazwisko autora tegoż — głębokiego myśliciela, wielkiego poety, wieszcza.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej wieszczek. 2. Artysta rzeźbiarz, twórca „Kopernika“. 3. Inaczej epidemia. 4. Jeden z najstarszych rzymskich poetów na początku II. w. przed Chrystusem. 5. Osad powstający w kotle przy topieniu żywicy. 6. Roślina rosnąca u nas jako chwast. 7. Kraina we Francyi, skąd ród się wywodził, panujący także w Polsce. 8. Największe miasto w Syberyi. 9. Odzienia używane w starożytnym Rzymie.

Kryptogryf.

ułożył P. T. z Miżyńca.



W miejsce kółek i gwiazdek wstawić litery w ten sposób, ażeby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły nazwę miasta, które niedawno uległo ogromnemu trzęsieniu ziemi.

Znaczenie wyrazów: 1. Podwórze kamienicy, przez które można przejść z jednej ulicy na drugą. 2. Owady należące do rzędu błąkówek. 3. Powóz kryty, którego budę można spuścić na jedną i drugą stronę. 4. Powtórzenie tego samego zdania innemi słowy. 5. Wynalazca aparatu telegraficznego. 6. Przymusowa danina. 7. Uczony, filolog, który zdobył sławę przez napisanie „Słownika polskiego“. 8. Inaczej wniosek, wyraz używany w relacyach sejmowych. 9. Komedyopisarz polski. 10. Miasto nad Dnieprem pamiętne ze zwycięstw wojsk polskich nad moskiewskiemi. 11. Znakomity dziejopisarz rzymski. 12. Współczesny powieściopisarz polski.

Arytmogryf.

Ułożył Józef Robak Kraków.



Liczby zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły nazwisko rzeźbiarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2. Zaimek. 3. Jarzyna. 4. Ptak. 5. Inna nazwa rośliny zwanej głodkiem. 6. ? 7. Bohater z „Popiołów“. 8. Mała ryba, żyjąca w strumieniach górskich. 9. Potrawa. 10. Miara angielska. 11. Samogłoska.

Logogryf.

Ułożył J. Robak Kraków.

Ze zgłosek: a, a, a, a, a, a, an, ar, ba, ba, big, bis, bleń, bój, bra, but, ce, ce, cer, cho, cho, ci, co, dy, dy, e, en, est, eu, fe, flu, go, gon, gu, ha, har, i, i, im, in, in, iz, ja, ja, je, jem, jou, ka, ke, ki, ki, ko, kon, kow, la, la, len, les, lie, łom, mam, mar, me, me, me, mor, na, na, na, nan, nar, ni, nia, nie, no, nus, o, o, o, ob, pa, pan, pla, psy, ra, re, re, rec, ro, rum, se, set, sicz, siec, ski, sta, sta, ta, tam, tor, tyk, usz, wel, wel, wi, wicz, wiec, za, za, zya, ża, żur— ułożyć 41 wyrazów w ten sposób, aby litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół, utworzyły tytuły jedenastu nowel Sienkiewicza.

Znaczenie wyrazów: 1. Główna osoba w komedyi Moliera „Skąpiec“. 2. Imię żeńskie (powieść Orzeszkowej). 3. Inaczej ładunek. 4. Choroba pospolita na wiosnę i w jesieni. 5. Przydomek poety Klonowicza. 6. Pierwiastek chemiczny. 7. Nimfy greckie. 8. Umowa, różniąca się nieco od dzierżawy. 9. Rzeka w Rosyi. 10. Składowa część każdej parowej maszyny. 11. Towarzystwo ruskie, podobne do polskiego Sokoła w Galicyi. 12. Gromada robaków o cienkiem ciele. 13. Sławny chemik niemiecki. 14. Ród królewski. 15. Najdawniejszy filozof grecki. 16. Powieść Feldmana. 17. Miasto w Rosyi. 18. Znakomity heraldyk polski. 19. Duchowny mahometański. 20. Pasmo gór w Tybecie. 21. Polski kompozytor. 22. Osłona u lampy. 23. Bożek grecki. 24. Część chałupy wiejskiej. 25. Roślina. 26. Miasto w Królestwie Polskiem. 27. Historyk Litwy. 28. Rzeka w Szwajcaryi. 29. Współczesny uczony i pisarz. 30. Znakomity matematyk francuski. 31. Roślina motylkowa. 32. Sekta religijna w Królestwie. 33. Prowincya star. cesarstwa rzymskiego. 34. Ptak. 35. Pedagog polski. 36. Miara gruntu w Polsce. 37. Rzepak holenderski. 38. Miasto w Portugalii. 39. Jeden z panujących. 40. Gwałtowna trucizna. 41. Inaczej „wędrówka dusz“.

Kryptogram.

Ułożył Józef Robak Kraków.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki dały nazwisko „żyda wiecznego tułacza“.

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Wykrzyknik. 3. Miasto na Śląsku austryackim. 4. ?. 5. Ptak wróblowaty. 6. Ton w muzyce. 7. Spółgłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniałą bombonierę czekoladek** z cukierni Lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 15.

Szarada.

Ha-ka-ta.

Zagadka.

Sienkiewicz, Prus, Tetmajer, Gruszecki, Weyssenhoff.

Kryptogryf.

Szpara**G**, **t**rzcin**a**, **a**lfeni**d**, **s**andac**z**, **i**roke**z**i **a**winio**n**, **K**alink**a**.

Stasiak — Gadzina.

Zagadka trójkątowa.

J, **o**n, **j**eż, **N**isz, **E**ubea, **F**araon, **I**zasław, **r**amota, **u**ncya, **Ł**ódź, **k**os, **E**l, **s**

Jojne Firułkes.

Logogryf.

Ara**b**, **N**iniw**a**, **H**anniba**l**, **e**dy**l**, **L**ozann**a**, **L**eopol**d**, **I**nnocent**y**, **L**itwi**n**, **I**ren**a**, **L**eżajs**k**, **L**eoncavall**o**, **A**mo**r**, **W**allenro**d**, **e**femeryd**y**, **n**iezapominajk**a**, **e**kra**n**, **d**ormitoriu**m**, **a**łu**n**, **W**ieniawsk**i**, **A**nczy**c**, **C**zec**h**, **Ł**a**m**, **A**poloni**a**, **w**iers**z**, **H**ekab**e**, **u**cze**p**, **G**ąsaw**a**, **o**rę**ż**, **j**odofor**m**, **A**rgonauc**i**, **n**apó**j**, **b**asetl**a**, **i**mpresyoniz**m**, **e**fend**i**, **l**ima**n**, **e**pizo**d**, **C**agliostr**o**, **K**ałguje**w**, **i**n sp**e**.

Anhelli, Lilla Weneda, Wacław, Hugo, **Jan Bielecki, Balladyna, Kordyan**, Mnich, Mazepa, **Żmija, Mindowe.**

Arytmogryf.

J, j**a**d, Ha**n**ia, bru**k**iew, Beni**o**wski, Józef **M**aciej, Janko M**u**zykant, Konas**z**ewicz, Lafa**y**ette, Lao**k**oon, Lo**a**ra, g**nut.**

Janko Muzykant.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Robak Kraków, B. Ramułtowa Jeżów, J. Kłosówna Warszawa, H. Kłosówna Warszawa, J. Kalinowska Lwów, M. Bartelmusowa Lwów, H. Ulrych Malin, St. Szwabowicz Żurawno, J. Lipińska Medyolan, Cz. Lipiński Medyolan, Fr. Milk Żyrardów, Tow. „Zgoda“ Krosno, J. Kulczyńska Kraków, Z. Szymczakowska Piaski, K. Bobek Kraków, Fr. Niepokój Krosno, K. Jurkiewicz Tłumacz, J. Rodakowska Kulików, J. Weimerowie Nowy Sącz, J. Jaroszkówna Nowy Sącz, O. Piotrowska Kraków, N. Auerówna Podgórze, J. Wodziczkówna Germakówka, K. Jaroszek Kraków, K. Kaczarowski Sanok, A. Surowiecki Kraków, J. Badura Rożdzień, K. Chodkiewicz Zbydniów, Fr. Kośnider Nowy Sącz, B. Warowitz Nowy Sącz, J. Alesandrowicz Kraków, I. Pompianka Kraków, J. Sulkowski Kraków, J. Haładej Gorki, A. St. Bassara Niwiska, H. Mokrzycka Turbia, J. T. Flurak Uhnów, H. Karatnicka Nadwórna, Br. Krzaklewski Zabłotowce. Wł. Kropiwnicki Czerniowce, M. Rożański Gorlice, K. Jasiński Kraków.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymała przez losowanie p. **Melania Bartelmusowa we Lwowie.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Poznał się.

— No cóż tam syn?

— A proszę wielmożnego pana pół roku terminował u rzeźnika, a teraz uczy się na golarza.

— To ci dopiero krwiożercze usposobienie.